

Przewodnik Katolicki

Ilustrowany tygodnik dla rodzin katolickich - Redaktor założyciel X. Józef Kłos, redaktor nacz. X. Fr. Forecki



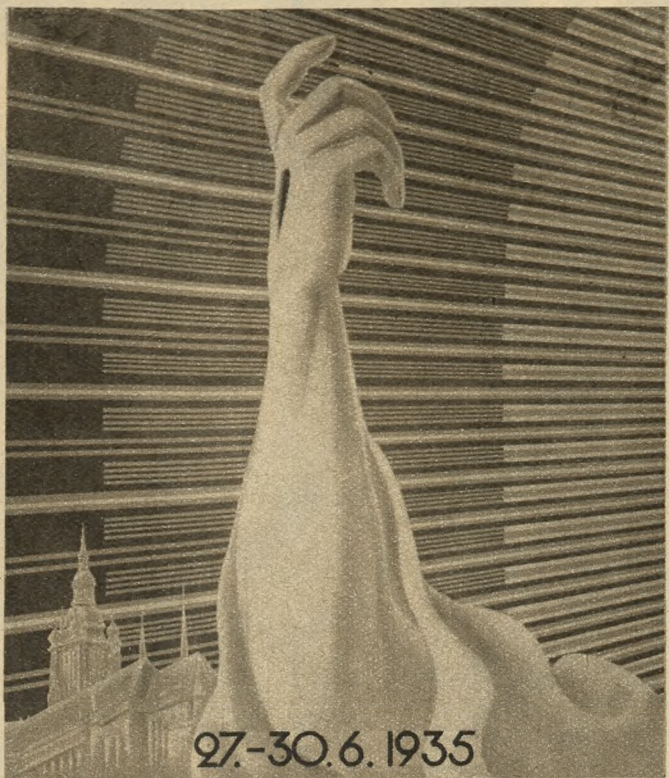
Z Ogólnopolskiego Kongresu Eucharystycznego w Pradze

Tylu ludzi dzisiaj bez pracy, tylu niema co jeść i w co się ubrać. — Wyczerpani nędzą, skołatani troską o przyszłość uginając się pod bólem, oglądają się za ratunkiem. Gdzie ten ratunek?

Przenajświętsze ręce — jak poprzez wieki, tak i dzisiaj — wyciągnięte są ku ludzkości. Nie odpychają nikogo, dadzą ukojenie każdemu. Trzeba tylko ku tym zranionym dłoniom błagalnie i ufnie wyciągnąć swoje. I rzeczywiście coraz więcej tych dłoni ludzkich wyciągniętych ku Bożym. Są wśród nich delikatne, kobiece, są spracowane, uznojone dłonie mężczyzn, są i takie, w których może jeszcze niedawno zaciśnięte było mordercze narzędzie; są wreszcie ręce tak mocno zwarte, że widać z nich, iż ostatniego już tylko upatrują ratunku. A z Bożych rąk spływa ukojenie, słodycz, otucha, światło.

Wskroś rozgwaru, ciemności, niepokoju słychać głos mocny, za serca chwytający, pociechę niosący: „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy spracowani i obciążeni jesteście, a Ja was ochłodzę”.

Oto sens eucharystycznych kongresów. To sens także tego do głębi serca wzruszającego plakatu, który nasi pobratymcy czescy wydali z okazji kongresu eucharystycznego.



27-30.6.1935

I. CELOSTÁTNÍ SJEZD KATOLÍKŮ ČSR PRAZE

PRAGA-LUBLANA

DWA KONGRESY EUCHARYSTYCZNE W SŁOWIAŃSZCZYŹNIE

Znaną jest rzeczą, że organizatorzy kongresów katolickich, chcąc manifestacjom przez siebie organizowanym nadać największy splendor, a zarazem chcąc podkreślić swoją uległość i przywiązanie do Głowy Kościoła katolickiego, uciekają się do Stolicy św. z prośbą o przewodniczenie w tych uroczystościach. Ojciec św. oczywiście nie może sam wszędzie osobiście przewodniczyć, bo byłoby to niemożliwe. Nie chcąc jednak odmówić prośbom swych poddanych, mianuje swego zastępcę zwykle w osobie jednego z kardynałów, który w Jego imieniu w obchodach bierze udział, odbiera wszystkie hołdy i całemu kongresowi przewodniczy.

Na Kongres Eucharystyczny katolików Jugosławji w Lublanie wyznaczył

Ojciec św. na swego zastępcę Ks. Kardynała Prymasa Polski — i słusznie! Wszak Słowianie ten kongres urządzą, niechże więc i słowiański kardynał odegra na nim rolę główną.

Prawie równocześnie z kongresem Eucharystycznym w Jugosławji katolicy czescy urządzali kongres katolicki w Pradze. Aby okazać życzliwość pobratymczemu katolickiemu narodowi, Ks. Prymas, miast wprost do Lublany (miasto w Jugosławji) udaje się wpierw do Pragi.

W środę 26 czerwca wczesną godziną miał nastąpić odjazd. Na dworcu w Poznaniu zebrał się kler z Ks. Biskupem Dymkiem i Kapitułą poznańską na czele — zebrały się władze miejskie w osobach wicewojewody Kauckiego, dowódcy korpusu gen. Knoll-Kownackiego, prezydenta miasta p. Więckowskiego. Zebrały się stowarzyszenia Akcji Katolickiej z rozpostartymi sztandarami, aby żegnać swego drogiego Pasterza i Legata papieskiego zarazem. W szpalerze standardów wśród dźwięków orkiestry K. S. M. przechodzi Ks. Prymas na peron. Kompanja wojska pre-

Ewangelja na piątą niedzielę po Świątkach

zapisana u św. Mateusza w rozdziale 5, w. 20—24.

Won czas mówił Jezus uczniom swoim: *Jeśli sprawiedliwość wasza nie będzie większa, niż uczonych i faryzeuszów, nie wnijdziecie do Królestwa Niebieskiego. Słyszeliście, iż powiedziano w Starym Zakonie: „Nie zabijaj; ktoby zaś zabił, tego czeka sąd“. A Ja wam powiadam, że każdy, kto się gniewa na brata swego, tego czeka sąd; ktoby zaś rzekł bratu swemu: „zakąło“, tego czeka Najwyższy Trybunał; a ktoby rzekł: „bezbożniku“, tego czeka piekło ogniste. Jeśli zatem przyniesiesz ofiarę swą do ołtarza, a tam przypomnisz sobie, że brat twój ma coś przeciwko tobie, zostaw tam przed ołtarzem ofiarę swą, a idź, pojednaj się wpierw z bratem swoim, a wtedy, wróciwszy się, złóż ofiarę swoją.*

NAUKA

Uczy Zbawiciel o sprawiedliwości i miłości chrześcijańskiej, jakimi być winny? Nie jak u faryzeuszów. Pobożność ich i sprawiedliwość była zewnętrzną i dla oka ludzkiego.

Nasza zaś wiara, cnota, pobożność i sprawiedliwość przedewszystkiem ma z ducha i z serca pochodzić.

Ducha naszego przedewszystkiem doskonalić mamy, abyśmy byli „świętymi, jako Ojciec nasz niebieski świętym jest“.

Aby coraz miłszem Bogu i coraz świętszem było każde serce chrześcijańskie.

Wymowne są słowa filozofa nowoczesnego (Bergsona):

„Ludzkość ugina się pod ciężarem postępów dokonanych; lecz musi zdobyć się na wysiłek, aby dokonać istotnego zadania wszechświata, który jest maszyną do tworzenia bogów“.

Wykłada św. Tomasz z Akwinu, największy filozof chrześcijaństwa:

„Jednorodzony Syn Boży, chcąc nas uczynić swej boskości współuczestnikami, przyjął naszą naturę i stał się człowiekiem, aby ludzi uczynić bogami“.

„Bogami jesteście“ — uczy apostoł — i „świętyniami Ducha Świętego“.

Oto ideał sprawiedliwości, doskonałości chrześcijańskiej!

Dla wielu, niestety, cała ich wiara i sprawiedliwość li-tylko, na zewnętrznej dewocji, i zewnętrznych nabożeństwach polega, a o pracy nad wewnętrznym swem wyrobieniem duchowym nie myślą wcale. Tak samo czynili dawni obłudni faryzeusze, owe „groby pobielane“ i z zewnątrz tylko piękne.

Wolał o takich ze zgroza św. Hieronim: „Biada nam nieszczęśliwym, do których faryzejskie błędy przyszły!“

I bliźniego swego w duchu przedewszystkiem miłować mamy, głęboko szanując w każdym jego ludzką godność i cześć nie tylko u tych, co są u szczytów, ale i u tych z nizin społecznych. I tych duch — obrazem jest i podobieństwem Boga.

Żydzi Starego Zakonu znali jeno prawo ciała: „ktoby zabił — będzie winien sądu“; Jezus głosi tu prawo ducha, zakazując i urażania duchowego oraz poniżania bliźniego; nakazuje Jezus chować dla bliźniego szacunek, miłość i gotowość przebaczenia.

Św. Jan Ewangelista wyjaśnia to nam silnie: „Każdy, kto nienawidzi brata swego, mężobójca jest“.

I kto w gniewie posuwa się do nienawiści i pogardy bliźniego, ten nie już ludzkiem, lecz Bożemu podpada Sądowi i ka-

rom. Kara u Boga dla tych, co w duchu poniżają bliźniego — wielka jest. Obrazem i miarą tych kar jest Gehenna, dolina Hinnoma pod Jerozolimą, gdzie na cześć bożka Molocha bałwochwalczy Żydzi kiedyś poświęcali nieraz na spalenie nawet swe dzieci.

Tą grozą karania Bożego pragnie Jezus oduczyć serca nasze od nienawiści i od okazywania wzgardy bliźniemu.

Ileż jej jeszcze widzimy na świecie pomimo wszelkiej demokracji! Wielu sercom brak tego ducha miłości. Pracujmyż, aby nasza cnota, wiara, sprawiedliwość nie była na modłę faryzeuszów-obłudników, lecz wedle Serca Jezusowego. Szlakami dla ducha chrześcijańskiego to owe błogosławieństwa i kazania na górze: Błogosławieni ubodzy duchem... cisi... i którzy płaczą... i którzy łakną i pragną sprawiedliwości... błogosławieni miłosierni... czystego serca... i pokój czyniący... i którzy cierpią dla sprawiedliwości i dla Jezusa... Mamy w kościele rekolekcje zamknięte. Encyklika Piusa XI uczy, że są one „bardzo pożyteczne dla wszystkich ludzi świeckich“, w tej bowiem szkole wyrabiają się nie tylko wzorowi chrześcijanie, ale także prawdziwi apostołowie przygotowani do wszystkich warunków życiowych i ogniem Serca Jezusowego wypełnieni. Z tej szkoły wyjdą, jak niegdyś apostołowie z Wieczernika w Jerozolimie, mężowie niezachwiani w wierze, nieugięci i wytrwali w prześladowaniach, pionący gorliwie pragnieniem szerzenia wszędzie Królestwa Chrystusowego, mężowie owej wyższej, Bożej, chrześcijańskiej sprawiedliwości.

Ks. Szcz. Sł.

zentyje broń, orkiestra wojskowa odegrała hymn papieski — ostatnie pożegnanie i po chwili pociąg unosi naszego Dostojnika i jego świtę daleko na południe, ku naszym braciom Słowianom.

Dzień był upalny. Już rano termometr wskazywał 30° w cieniu. Mimo jednak wczesnej pory i mimo upału na wszystkich stacjach od Pleszewa począwszy, gromadzili się wierni ze swymi pasterzami, gromadziły się stowarzyszenia z sztafardami i orkiestrami. Przybywali starostowie, prezesi sądu, burmistrzowie... a zbierali się, aby oddać hołd zastępcy Papieża. Oddanie swe wyrażano ślicznymi pękami róż. Zastępy dziatwy, zaopatrzone w wypełnione kwieciami koszyki, obrzucały Ks. Prymasa bławatnymi płatkami kwiatów. Co za radość wśród dzieci, gdy jeden rzucony płatek przyłgał do zroszonego potem prymasowskiego czoła! Ze wzruszeniem i prawdziwą radością z powodu powierzonego Mu szaczonego zadania żegnała Archidiecezja swego Arcypasterza.

Krótko przed godz. 14 stanęliśmy na granicy polsko-czeskiej w Zebrzydowicach, gdzie czekał już specjalny wagon czeski, przeznaczony wyłącznie dla Ks. Prymasa i jego świty.

Na terytorjum Czechosłowacji witali Ks. Kardynała nie tylko Polacy ale i Słowacy i Węgrzy, którzy zdążyli właśnie na kongres katolicki do Pragi. Z racji tego kongresu wszystkie stacje przystrojono w flagi narodowe i papieskie i zieleni oraz w szyldy z napisami: Chrystus króluje, Chrystus panuje!

Do Pragi dotarliśmy wieczorem tego samego dnia. Na peronie, wyłożonym dywanem, oczekiwali naszego Purpurata: Arcybp. Kašpar, prymas Czechosłowacji, min. Grzybowski, poseł R. P., opat Norbertanów Zavoral, p. Dr.

Rückl, prezes komitetu kongresu.

Na przeciąg jednej doby, którą mieliśmy spędzić w Pradze wyznaczono nam na mieszkanie pokoje wspaniałego starego klasztoru OO. Norbertanów zw. „Strahow'em“. Śliczna budowla, położona na wzgórzu, otoczona zielenią, a oświetlona w tym dniu reflektorami, robiła imponującą wrazenie. Ślicznie się prezentują pyszne białe rewerendy Norbertanów, tej arystokracji wśród zakonów czeskich. Miasto samo w sobie piękne, przybrano na czas kongresu w girlandy, kwiaty i szyldy z herbami katolickimi. Szczególnie przystrojono szeroką ulicę, kończącą się na placu św. Wacława, przeznaczonego na miejsce dla nabożeństw kongresowych.

Nieraz mówi się o tem, że kongresy eucharystyczne już się przeżyły, i że niezadługo znikną zupełnie z horyzontu katolickiego.

Tymczasem tak wcale nie jest. Obawy okazują się ponne! Cześć dla Jezusa Chrystusa utajonego w Najśw. Sakramencie nie tylko nie zamiera, nie tylko nie maleje, ale coraz więcej wzrasta i potężnieje. Inaczej trudno byłoby sobie wytłumaczyć wieści, które o nadzwyczajnym powodzeniu kongresów każdego roku nadchodzą, z coraz to innej dzielnicy świata katolickiego. Wszystkie one mówią; I u nas Chrystus żyje. I u nas zaczyna królować i niezadługo i u nas będzie



panować. Tak było tego roku w Pradze i Lublanie!

W Pradze odbył się pierwszy ogólnopństwowy zjazd katolików Czechosłowackich. Katolicyzmowi w Czechosłowacji nie najlepiej się wiedzie. Nie uspokoiły się bowiem jeszcze fale, które

OBJAŚNIENIA DO OBRAZKÓW:

Plakat z ręką, z czeskim podpisem (Ogólnopństwowy Zjazd Katolików Republiki Czechosłowackiej w Pradze) przedstawia na otoku promieni, na niebie rękę Chrystusa z raną, jako przeciwstawienie do tej ręki, co się na różnych plakatach podnosiła z zaczięniętą i groźną światu pięścią. Myśl tłumaczy się jasno. — Na plakacie następnym z podpisem słoweńskim (II Eucharystyczny Kongres Jugosłowiański w Lublanie) widać za monstrancją zarysy postaci Chrystusa zapraszającego do pożywania Ciała Swe-go. Na czeskim plakacie u dołu zarysy Katedry św. Wita, na słoweńskim zarysy budowli lublańskich.

Krzyż, którego smukła sylwetka wznosi się za pomnikiem św. Wacława na placu św. Wacława, zapanował nad Złotą Pragą. Już entuzjastyczne powitanie, jakie zgłodniano we środę popołudniu Kardynałowi Verdier, pierwszemu od 500 blisko lat legatowi papieskiemu w Pradze, pokazało katolickie oblicze stolicy nad Weltawą. Na ten plac zjechał Kardynał-legat Verdier w złotej karosie, przeszedł potem pieszo ogromne to miejsce, witany entuzjastycznie, by później wkroczyć do katedry św. Wita na Hradczynie praskim. Tutaj został legat papieski, w otoczeniu kardynałów Hlonda i Innitzera oraz misji papieskiej, uroczystie wprowadzony do świątyni przez episkopat czechosłowacki. W katedrze przed wielkim ołtarzem przygotowano cztery trony: dla kardynała-legata, obu kardynałów-gości i arcybiskupa Kašpara. Resztę presbiterjum na specjalnie ustawionych fotelach zajęli przedstawiciele rządu czechosłowackiego z prezesem ministrów Malypetrem i przewodniczącymi obu izb ustawodawczych Bradacem i Soukupem na czele, członkowie episkopatu czechosłowackiego, któremu przewodzi arcybiskup olomuniecki Preczan jako przewodniczący konferencji biskupich i przez Zjazdu katolickiego w Pradze, korpus dyplomatyczny w pełnym składzie oraz wybitniejsi goście. Resztę świątyni wypełniły olbrzymie rzesze przedstawicieli związków katolickich.



wzniecia burza, jaka powstała swego czasu w tym pohusyckim kraju przy próbach zaprowadzania heretyckiego kościoła narodowego. Jeszcze brzmią cicho echa smutnej epoki, kiedy to nieszczęsna polityka austriacka, chcąc zapewnić niemieckim wpływy, wyższe stanowiska w Kościele katolickim w Czechach obsadzała Niemcami! Jeszcze widać tu i tam na uwiad starczy chorujące krematorja — owe spalarnie zwłok, które jako protest przeciw Kościołowi rzymsko-katol. budowała masonska loża. Ale to niezadługo po wszystkich skupieniach w Czechosłowacji należeć już będzie do przeszłości. Już dzisiaj parafje heretyckie kościoła narodowego, nie mogąc utrzymać swoich predykantów — pastorów, zatrudniać go muszą w pobocznym urzędzie jako państwowego nauczyciela. Więc wszystko idzie ku dobremu, także w Czechosłowacji.

Ze strony Pańsłowackiego zasługę uczczenia ła Verdier (czyt. Werskupa Paryża, który kardynał jako legat przyjeżdżał jako czyli legat Ojdo Pragi. Po wysłano aż do Paryża wagon

stwa Czecho- giwało na Kardyna- dje) arcybi- tak jak nasz do Lublany, zastępca św. niego

salono- wy pre- zyden- ta przyje- to go z hono- rami wojskowe- mi, a na dwor- zecz nietylko do- stojni- cy du- chowni ale pre- mjer Ma- lypetr i mini- ster

Benesz. Trzeba pamiętać, jak wielką rolę odgrywa ten współtwórca Czechosłowacji, żeby zdać sobie sprawę z tego, jak bardzo chciano uhonorować Legata. Szereg najwybitniejszych działaczy czeskich zajmuje dotąd wobec religji stanowisko zbliżone do tego, jakie zajmowali ongi ministrowie francuscy. **Po- raz pierwszy od powstania republiki państwo zademonstrowało tak stanowczo i tak uroczystie swój pozytywny stosunek do katolicyzmu.**

Ale jeszcze piękniej i silniej niż państwo uczyniła to ludność. Trudno dziś powiedzieć, ile dziesiątków tysięcy przybyło do Pragi na te dni: to pewna że przybyły masy. Przybyli Czesi, Morawianie, Słowacy, Niemcy, Węgrzy, Polacy śląscy. Ci ostatni postarali się mimo prze-

szkód przybyć tak, by móc witać na dworcu w środę wieczór JEm. Ks. Kardynała Prymasa Polski.

Podczas kongresu obradowało 11 sekcji. Jedną z nich była sekcja polska, której obrady zaszczycił swem przybyciem Ks. Kardynał Legat Verdier w otoczeniu całego Episkopatu czeskiego. Bodaj że najważniejszą i największymi zadaniami obarconą była sekcja nauczycieli. Zasiadała w niej imponująca doprawdy liczba nauczycieli gimnazjów i szkół powszechnych. Opracowywali oni zadania nauczyciela-katolika w szkole czechosłowackiej. Do niedawna dział ten wysuwał się z pod wpływu sfer katolickich. Już pierwsze dni zjazdu wykazały dobitnie, że ten stan należy do przeszłości.

W czasie kongresu wygłosił w Pradze przez radio J. Em. Ks. Kardynał-Prymas następujące orędzie w języku czeskim:

Mógłbym to swoje do was przemówienie tem uzasadnić, że przychodzę od prastarej, jak ten wasz święty Wit praski, bazyliki gnieźnieńskiej, w której jako pierwszy na tronie Metropolitów polskich zasiadał wasz ziomek, błogosławiony Radzym. Mógłbym na to się powołać, że tam w tej archikatedrze Prymasów Polski leżą szczątki Dąbrowski, czeskiej księżniczki, a matki pierwszego koronowanego króla polskiego Bolesława Chrobrego. Mógłbym i to przytoczyć, że reprezentując owo Gniezno, które w przejeździe na misje pruskie odwiedził nasz i wasz św. Wojciech i gdzie jego szczątki męczeńskie czcił cesarz Otton. Ale poza tym tytułem dawnych naszych stosunków kościelnych pragnę stanąć przed

Na uroczystości zjazdowe przybyło do Pragi około 200 tysięcy osób z różnych okolic republiki czechosłowackiej a nadto liczni przedstawiciele katolików czeskich i słowackich na emigracji, głównie z Ameryki, skąd przybyła liczna pielgrzymka pod wodzą biskupa Kuczery oraz reprezentacja katolików z Polski, Austrii, Niemiec, Węgier, Belgji, Szwajcarii, Francji, Włoch, Holandji i Anglii. Oto tłumy narodu wiernego zgromadzonego na błoniach w czasie mszy św. pontyfikalnej, celebrowanej przez Ks. Kard. Verdier.



Kardynał-Legat i jego świta

od lewej: Szamb. Potworowski, Kan. Mędlewski, Kan. Zakrzewski, Prał. Calori de Vignale, hr. Wł. Zóttowski, Ks. Igliński, kapelan, Ks. Dr. Baraniak, sekretarz. Prałat Magjerec, Prał. Capoferri ceremoniarz pap., Szambelan Grabski.



wami, przed ruchliwymi katolikami wolnej Republiki Czechosłowackiej, jako Prymas Odrodzonej Polski katolickiej, jako kardynał słowiański, jako zwolennik duchowego zbliżenia słowiańskiego i jako fanatyczny apostoł religijnej solidarności i współpracy wszystkich północnych, południowych i wschodnich katolików Słowian.

Katolicy Republiki Czechosłowackiej!

Z Lublany, gdzie od jutra przewodniczyć będą wspianym hołdom, oddawanym w duchu głębokiej religijności przez południowych braci Słowian Chrystusowi Eucharystycznemu, łącząc się będą w myśli z entuzjazmem waszych dusz i będą się wsłuchiwać w wybuchy waszej katolickiej dumy i inicjatywy. Postanawiajcie rzeczy wielkie i śmiałe! Niech przez piękne ziemie Republiki waszej, niech poprzez całą Słowiańszczyznę popłyną oddźwięki waszego kongresu niby mocarne wołanie o budowanie nowych czasów i przeznaczeń słowiańskich na Chrystusie. Gdy wokoło nas wypieranie się Ewangelji stało się złowieszczym znakiem czasu, wróżąc upadek narodom, rozstrój ludzkości, a światu burzę zniszczenia, niech ten wasz kongres i nam Słowianom i wszystkim ludom raz jeszcze przypomni, że „niemasz w innym zbawienia“, jeno w jednym, historycznym, boskim Zbawicielu wszystkich czasów i wszystkich ras.

Mowa ta była wysłuchana z entuzjazmem przez ludność Czechosłowacji.

Po odjeździe Ks. Kardynała - Prymasa jako jego zastępcą na kongresie pozostał Ks. Henryk Zborowski, kanonik metropolitalny poznański.

Pierwszy ogólnopolski zjazd katolików w Czechosłowacji udał się w całej pełni.

Prócz tego przesłał Ks. Kard. - Prymas list do prezesa komisji prasowej kongresu Dra Fuchsa, który prosił Ks. Kardynała o odpowiedź na kilka zapytań. W liście swoim Ks. Kardynał - Prymas wyraził radość, że po pierwszym swoim pobycie w Pradze w dni jubileuszowe św. Wacława nie omylił się w ocenie katolicyzmu czeskiego.

Natężenie i rozmach tego katolicyzmu wzmogły się.

Świadczą o tem potężne przygotowania do kongresu.

„Wizja potężnego krzyża, — pisał ks. Prymas — który na placu świętowaclawskim wyrasta z bruku miejskiego jako tło ideowe Kongresu i jako szczyt ołtarza Chrystusowego, opartego o pomnik króla-męczennika, przypomina mi zwrotne i zwycięskie dzieje Krzyża w Kolloseum i złotego krzyża na rzymskim Kapitolu. O ten krzyż rozgrywają się za dni naszych największe w dziejach zmagania duchowe“

„Ale nic nie powstrzyma nowego zdobywczego pochodu Krzyża przez świat“.

„Każdy naród, któremu krzyż gwałtem odjęto, doczeka się swojej inventio crucis, (Odnalezienia Krzyża św.) i przeżyje swą ponowną exaltatio crucis (Podwyższenie Krzyża). Czyż to przywrócenie Krzyża nie jest jakby znamiem obecnej chwili w życiu ludów?“

„To też jestem przekonany, że Kongres Katolików Czechosłowacji zaznaczy się jako

jeden z najwybitniejszych i najbardziej wpływowych aktów, jakimi Kościół po przez Jubileusz Odkupienia prowadzi ludzkość do Chrystusa, Zbawiciela Świata“.

„Tem więcej się z tego obchodu i jego wpływów cieszę, że wierzę w wielkie posłannictwo, które katolickie narody słowiańskie spełnić mają w Kościele“.

„Gdy grzyzy pokrywać będą wielkie polacie zlaicyzowanej Europy, a po materializmie rozpościerać się będą wokoło zgłiszczą kultury, wybiję nasza godzina słowiańska — nie orężnego podboju, któregośmy tyle razy na sobie doznali, lecz dziejowego udziału w odbudowie ducha i w kształtowaniu nowych czasów“.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

Przed Przenajświęszym Sakramentem!

Kiedy mi ciężko, uciekam do Ciebie —
Boże jedyny — co królujesz w niebie
I wszystkie moje cierpienia i troski
Składam w pokorze na Twój Ołtarz Boski,
A stamtąd patrz wśród światła roztoczy
Twoje Najświętsze — Uwielbione Oczy!...

A kiedy znowu Łaska Twa Cudowna
Chwilę jaśniejszą ześle na mą głowę,
Wdzięczność radosna, wielka, niewymowna
Wiedzie mię do Cię pokornymi słowy
Szczerzej modlitwy, która jaźń mą kruszy
I żar miłości wydobywa z duszy!...

Tak sływa dzień mój, a gdy noc zapadnie,
W snach Cię uwielbiam, Boże Utajony,
I taka radość moim sercem władnie,
Że duch mój z ziemskich więzów wyzwolony
W górę ulata hen — w niebiańskie stropy,
By Twe Najświętsze ucałować Stopy!...

I to jest świat mój — to jest moje życie,
Tak ostatniego pragnę dożyć tchnienia,
By kiedyś zwrócić duszę mą w zachwycie
Dorąk Twych — Panie — w dowód uwielbienia!
Dlatego błagam w najgłębszej pokorze:

Daj siłę
wytrwać,
Utajony
Boże!!!

Gustaw
Flach,
Lwów



Z Kardynałem-Legatem na Kongres.

1. Ksiądz Kardynał przemawia po czesku przez radio w Pradze. 2. Na pierwszej stacji jugosłowiańskiej witają Ks. Kardynała tłumy. 3. W salonie do Czechosłowacji. 4. Ks. Kardynał błogosławi dzieciom słowiańskim. Na samym froncie widać Ks. Prał. Zakrzewskiego, należącego do świty Ks. Kard. Legata. 5. Powitanie przez wojsko na stacji Maribor (Jugosławja). 6. Na dworcu w Lublanie. 7. Ostatni obraz: Na dworcu w Ostrowie Wielkopolskim.

Młoda wieś budzi się

(Artykuł nadesłany nam z byłej Kongresówki)

We wsi, położonej na szlaku Warszawa—Płock, siedział w chacie przy stole gospodarz z dziada pradziada, pan Michał Skowroński i rozmawiał z zacnym sąsiadem, panem Wojciechem, czelkiem rozsądnym i obytym.

— Co za czasy, co za czasy! — mówił pan Michał — toć na tej naszej roli nie wiada jak żyć i nie wiada jak rządzić. Choć się utrudzisz, jak ten wół i uczciwie skropisz potem tę matulę naszą ziemię — coraz to większa bieda. Ziarno mało płaci, a o przychówku: koniach, krowach i nierogaciznie, to i mówić nie warto — za barszcz kupić i sprzedać możesz!

— Ano ciężko jest — ale głowy nie trza tracić — prawil pan Wojciech. — To dobre dla niedorajdów i bab, choć niejedna twarda i dorzeczna niewiasta lepiej sobie poczyna w dzisiejszych czasach niż bracia chłopci. Człowiek radny, panie Michale, musi się brać z życiem za bary, bo gdy mu ducha i wytrwałości nie stanie, to krucho z nim będzie.



Na ukończeniu

— Nie tak to łatwo, panie Wojciechu. Naprzykład ten kryzys. Im więcej wydobywamy pracy z ziemi, tem nam gorzej płacą, ziemia, ziarno i wszystko leci w cenie. Co tu robić? Pieniędzy coraz mniej, podatki

ciężkie, kto ma długi — nie ostoi się. Pójdzie na dziady.

— A ilu to bezrobotnych na wsi? Drzwi się nie zamykają przed tymi, co chodzą po prośbie, za chlebem! Dawniej choć do fabryki ciągnęli, czy do cukrowni — teraz i z tem krucho. Gdzie tu dzieciska pchać?

— Do urzędów też ciężko, pełno już ludzi, a i tym, co wyższe szkoły kończą, trudno o stanowiska. Całkiem głupie to życie!

— Nie takie znowu głupie, panie Michale. Gdyby ludzie byli radni, niejednoby się polepszyło. Toć ta bieda na wsi wieczna nie będzie, w rolnictwie

złe jest w całym świecie, a i w naszym gospodarstwie publicznem za dużo tych urzędników, opłat, komorników i całej tej kosztownej biedy. Poprostu za dużo jest ludzi na wsi, dusimy się, a jeszcze nasze ciężko zapracowane grosze wydajemy tak, że nie chłopskie dzieci karmią, a obcych!

— A jak wy to myślicie, panie Wojciechu?

— Ano, każdy chłop musi wszystko, co potrzebuje, z miasta kupić. Czy sól, igły, nici, kawę, herbatę, korzenie, gwoździe, blachę, śrubki i żelazo, na przyodziewek, na kiecki, wszystko za te ciężko zapracowane pieniądze! A u kogo to kupujemy? U obcych! Tak nas ciągnie do tej szlachty palestyńskiej, tak się chłopu wydaje, że Pana Boga za nogi ułapił, gdy mu wmówią, że u żyda najtaniej. I jak kraj długi i wielki, z wyjątkiem Wielkopolski, Pomorza i naszej części Śląska, oraz oświeconych stron byłej Kongresówki — wszędzie zanosimy nasze złotówki i grosze do obcych!

— To prawda, to prawda! — westchnął pan Michał.

— Widziałem kawał świata, byłem w Niemczech podczas wojny, byłem w Ameryce, do Wielkopolski chętnie jeżdżę, bo tam chłop oświecony i miasta spolszczył, a nigdzie tak śmiesznej ciemnoty jak u nas nie widziałem. Oby i u nas zapanował wreszcie ten zwyczaj, co w Poznańskim, gdzie ojciec ziemi nie dzieli, lecz jednemu dziecku przekazuje. Inne zaś, spłacane z roli, muszą iść do miasta na kupca, rzemieślnika, a co zdolniejsze na księdza, bywa, że i na doktora, adwokata,

urzędnika — to też nie dziw, że chłopskie dzieci zawładnęły temi miastami, wyparły obcych i aż serce się raduje, jak chłopski grosz, chłopskie dzieci karmi w mieście, a na odwrót oni popierają i wspomagają wsi przez Rolniki, Banki Ludowe, oświatę i kredyt. Chleb polski karmi swoich, naród polski, co na polskim stoi ludzie, wzmacnia się, a nie jak u nas, gdzie całą śmietanę i naszą krwawicę, przez naszą głupotę i pójście w pojedynkę zabiera-

ją obcy. Ażebyście wiedzieli, jakie tam miasta schludne, domki w ogrodach, sklepy i towary za czystościuchnem szkłem, że patrzeć można godzinami, jak na piękne korale. A u nas? Zapytaj, czyje domy i kamienie w miastach i miasteczkach? Kto to bogaci się i trzyma w szponach i chłopa i parobka i biednego mieszczucha i inteligenta, nie mówiąc o ledwo dychających dziedzicach? Panami są dziś nie swoi, a obcy! Dzięki naszej głupocie.

— Ale oni są siłą, z nimi nie poradzisz, żydy zawsze nas przechytrzą, panie Wojciechu, bo żadnego prawa nie uszanują, przekupstwem i podstępem swoje mnożą i popierają się nawzajem.

— A widzisz — popierają się mówisz! — ciągną

razem skórę z polskiego barana, czy on chłop, szlachcic, mieszczuch, czy robotnik! Synagoga, a nie Kościół panuje w naszych miastach! Gdybyśmy razem wszyscy byli trochę mędrsi i zgodni, toby tak nie było!

— A na tej taniźnie żydowskiej bardzośmy się wzbogacili? Tam, gdzie ich niema, tam jest lżej i więcej nasi chleba mają. Tam, gdzie oni są, chłop biedny, mieszczuch biedny, a oni tyją. Ach, panie Michale, gdyby te nasze chłopy mądrzejsze były! Jest nas prawie 25 milionów polskich chłopów. Gdybyśmy nasze chłopskie dzieci, co za ciasno im na roli, poduczili handlu, rzemiosła — gdybyśmy wydając i kupując tylko u swoich, u chrześcijan, spolszczyli miasta i miasteczka nasze, ileż chleba, ileż biedy uciekłoby ze wsi polskiej. Toć krew z krwi naszej weszłaby w nasze życie gospodarz!

Stanął pan Michał przy oknie i zadumał się. Nagle zaciekawiony zoba-



W początkach swej kariery



...A z żupana poznasz pana. Chałat wyda zawsze żyda.



Fot. Alski

W nędznej wsi kresowej najokazalszy budynek należy do żyda.

czył na rowerze jadącego człowieka. Młody był, chłop jak się patrzy; trzydzieści lat może miał. Zatrzymawszy kółko na przyzbie, coś z Magdzą gadał. Pożerał oczyma dziewczuchę, że raka spiekła i jak w obraz patrzyła, a z troskliwością dolewała mu mleka ze dzbanuszka. Ładny chłopiec był kiej na obrazku!

Otworzył Michał okno i zawołał:

— Stachu, chodźno tu! Co ty tam wyczyniasz i co się z tobą dzieje?

— A co się ma dziać, kumie? Robie, co ciągiem godocie! Do Płocka, do Warszawy jeżdżę, tam podglądam, uczę się i razem z kilkoma takimi jak ja parobczakami, co na wojnie byli, pozakładali my małe sklepiki. Rola nic nie daje — to oni w handerkach siedzą, a ja, Andrzej i Jędrzek po wsiach jeździmy. Oni z wozem, a ja naprzód z pieniędzmi i skupujemy co wieś ma, a na odwrót sprowadzamy, co wieś potrzebuje. Żydom robimy konkurencję. A że swarne i ładne chłopaki ta nasza trójka, a do pomocy mamy parobków i nawet dziewczuchy, to chłopcy się garną, zwłaszcza ci, co liczyć, czytać i pisać potrafią i bronią się. I wcale tak najgorzej nam się nie dzieje! Zarobimy dostаточно, że myślimy kupić młockarkę z motorem ropnym, aby nasze wioski mogły oszczędzić na koniach i pracy. Za parę złotych czy w monecie, czy w towarze, wymłócimy i powiążemy snopki każdemu gospodarzowi za koleją i ani patrzeć, oszczędniej i prędzej uporają się z robotą. Nasze dziewczuchy biorą się do płótna i odzieży — mam takiego polskiego dobrego hurtownika, co ładne płócienka i wełniaczki, a i świecące krajowe materiały sprowadza — to dał mi wzory i takie zeszyty, w których odmalowane i narysowane jest, jak uszyć dla dziecka i sukienkę i porteczki dla chłopców, dla dziewczuch przyodziewek, ba, nawet pończochy mamy te świecące, niby to jedwabne, co to dziewczuchy za tem przepadają! A Feliks, to ci mechanik! Ten z księdzem wymedytowali i koło „radja“ kręcą. Nauczył się, wychytrzył szelma, od takiego mechanika w mieście, co i jak, i najmniejszym chłopom radja nastawia, zakłada i reperuje — kry-

ształki ma zapasowe i druty, kartolki ztem, co będą pouczać i grać, i choć tam nieraz żydowskie bajanie, ale zawsze jaką pożyteczną naukę, muzykę godziwą, a nawet nabożeństwo, czy kazanie z Poznańskiej Katedry, albo z Wilna z Ostrej Bramy, z Katedry św. Jana w Warszawie, usłyszeć można. Czasem to sam Arcybiskup ks. Teodorowicz, albo taki złotousty kaznodzieja Ks. Biskup Szla-

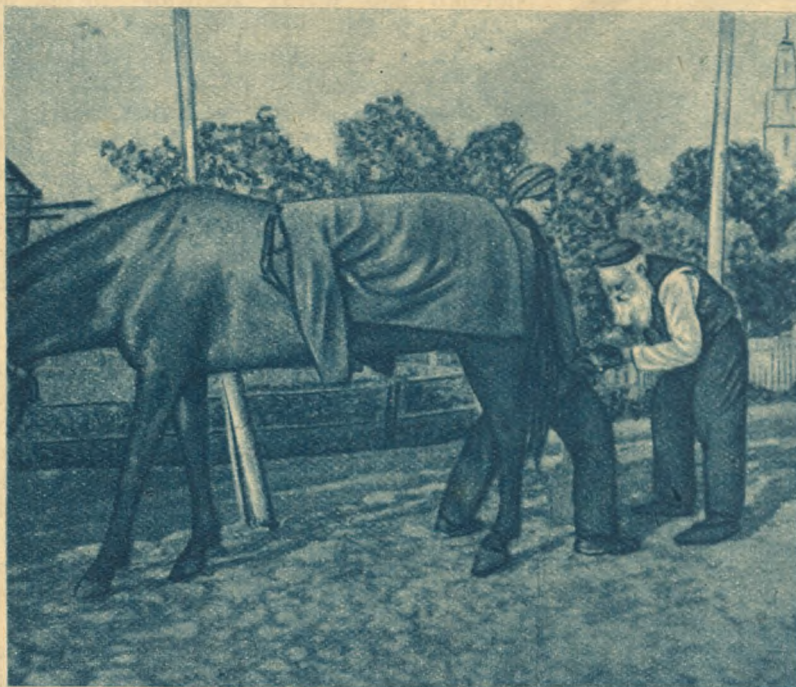
Salezjanina, co to w Czerwińsku nad Wisłą szkołę rzemieślniczą dla alumnow wprowadził. Byłem tam raz na tej świętej górze, ukorzyłem się, pomodliłem, bo tam moi ojcowie leżą, co czasu wojny pomarli. Modliłem się też u grobu księdza Gruberskiego, co mądry ksiądz był i lud oświecał i ładne pieśni układał, aż tu wracając słyszę trąbkę w obejściu klasztornej. — Zaciekało mnie to, patrzę, a tam młodzi Salezjanie uczyli się pod starszym braciszkiem, jak to kapelę założyć i w kościele na odpuście przygrywać. Gdy skończyli, ten starszy ksiądz pogadał ze mną grzecznie, zabrał do warsztatów, pokazał jak to pięknie toczą, sznycują i rzeźbią i wyrabiają z drzewa wszystko, co trza do kościoła, a i meble do sal i wszystko co potrzeba! — Naraz, gdy posłuchał, że na wsi źle, powiada: Nedorajda z ciebie, Stachu! Rower masz — to się do handlu weź! Tu masz 5 złotych na szczęście, skupuj i sprzedawaj, co ludziom prostszym potrzeba! Nie gardź żadnym groszem, wszystkiego, co wykonać możesz uczciwie, to się podejmij, ludzi nie ukrzywdzaj, małym zarobkiem się kontentuj! Na żydka tylko chłop poradzi! — co i o ziemniaku z solą na początek przetrwać potrafi! Swoim wygódź, bądź grzeczny, uczynny i podpatruj, czem komu wygodzisz! Weź parobków do pomocy i dziewczuchy i pracujcie, a zobaczysz, że podśpiewywać sobie będziesz!

— Patrzaj, tu na odpusty i w niedzielę żydowiny krzyżyki i szkaplerze sprzedawali — aż wziął się do tego zaradny chłop — powiedział mi, gdzie z Poznania od św. Wojciecha medali, obrazki, książeczki do nabożeństwa, a figurki święte sprowadzać może to i „Przewodnika Katolickiego“ zaprowadził i klientelę ma doskonałą. Biedy już nie zagna!

— Toć, toć, tak dobrze, Stachu — pokiwał głową pan Michał! — Oświata to dobrodziejstwo i radość ludzi, wszystkim nam dopomoże.

— Najwięcej to się matka moja cieszy, co już nie wiedziała, jak żyć na tych dwóch morgach, tam na rozstaju dróg pod Czerwińskiem. A teraz pani sobie, urządziła sobie składzik z moją siostrą, bo to wiecie

(Dokończenie na str. 450)



Fot. Alski

Żydzi na naszych Kresach opanowali już prawie całe rzemiosło. Biorą się nawet do kowalstwa.

gowski z Warszawy kazanie głosi, że człek jest jak ta grudka przy ziemi, jak ten pioseczek malutki, o którym jednak Pon Jezus nie zapomni!

— Ej, dobrze sobie poczynasz, panie Staśku — powiedział Wojciech — aż miło was słuchać!

— A wszystko to bez tego księdza



Obrazek nadesłany nam przez ucznia pewnej szkoły handlowej w byłej Galicji.

Handel polski a żydowski

Dzieci w kołysce to na kresach narodzony w odrodzonej Polsce handel chrześcijańsko-polski. Po drugiej stronie stary zażydżony handel żydowski jeszcze z przedrozbiorowych czasów. My Polacy zamiast mleko (pieniądze) dawać powstającym placówkom chrześcijańsko-polskim, idziemy bardzo często z pieniędzmi naszymi po towar do żyda. Świeżo powstałe polskie sklepy bankrutują, gdyż kupiec Polak w takich warunkach ostać się nie może. Jeżeli się nie poprawimy, wogóle nie zbudujemy handlu polskiego, nie będziemy mieli po naszych miastach i wioskach żadnego polskiego sklepu!

JANEK z KIOSKU



— Żadnych gór pani dotychczas nie zwiedziła?

Nietylko nad wyraz zdziwiony, ale nawet jakby z pewną wymówką kiwał wówczas głową:

— To nie do wiary! Tak piękna kobieta jak pani!

I zapraszał i zaznajamiał ją z tem wszystkiem.

Początkowo się wzbraniała, później coraz chętniej przyjmowała jego zaproszenia.

— Anko! Czy pójdziesz dziś ze mną do kina? — pytał Janek.

— Nie gniewaj się, Janku, ale dziś nie mogę. Muszę coś załatwić. — Początkowo dodawała: — z Henią. Ale już po trzech dniach wyznała mu otwarcie, że kocha innego.

— Janku, nie gniewaj się, ale to nie moja jest wina. Kocham go tak bardzo. Żal jej serdecznie było biednego Janka, chciała jednak być szczerą wobec niego.

— A on? — pyta Janek poważnie.

— On? — Oczy jej zabłyśły radością wewnętrzną. — Oczywiście, że kocha mnie również. I pomyśl, Janku, od pierwszego będą już miała nową posadę, o którą on mi się wystarał. Zarobię dużo więcej niż dotychczas. Będę pracować w biurze dużego sklepu obuwicznego, gdzie przyjaciel jego jest kierownikiem.

— No — to ładnie!

— Prawda? Sam to uznajesz. — Odetchnęła z ulgą. — Jakiś ty jednak dobry!

Spojrzała na niego bardzo serdecznie, z nieopisaną wdzięcznością. Pod wpływem tego spojrzenia Janek na chwilę stracił panowanie nad sobą. Zadrżał cały.

— Czy gniewasz się na mnie? — zapytała cichutko, podczas gdy dłoń swą pieśczętliwie położyła na jego rękę.

— Nie, Aneczko. Wiesz, że życzę ci jak najlepiej. Obyś tylko znalazła to szczęście, którego pragniesz.

— A jeśli bym kiedyś zateśkniła, przyjdę do kiosku — szepnęła.

— Tak, jeśli byś kiedy zateśkniła. — W głosie jego brzmi mimowoli pewna nuta gorzkości...

I tak się rozstali.

On pozostał w kiosku i czekał długo, długo na powrót swej Aneczki. Ale ona nie zateśkniła ni razu...

Pewnego dnia padła na los jego wielka wygrana. Otrzymał kilka tysięcy. Zdało mu się to oczywistą ironją losu. Nie umiał się zupełnie cieszyć. Odkąd opuściła go Anka, coś w nim jakby zamarło. Ale teraz zaczął znów coraz częściej o niej myśleć.

— Odszukam ją, albo napiszę jej o swym szczęśliwym trafie.

Jednak te chwile słabości mijały zwykle dość szybko. Zaciskał zęby — i milczał.

— Nie, tak nie chcę! I potem bardziej jeszcze zamykał się w sobie.

Minął rok.

Anka zbliżyła się do kiosku — trochę nieśmiało, z pewnem zawstydzeniem. Poznała wreszcie swą omyłkę. Ten, o którym sądziła, że go kocha, dla którego pięknych form i słówek opuściła Janka, okazał się marnym, lekkomyślnym człowiekiem, który w niej widział tylko przelotną zabawkę. Przygoda ta trwała wprawdzie trochę dłużej, niż na ogół był do tego przyzwyczajony, jednak i ona wreszcie się jemu znudziła i bez najmniejszych skrpułów chciał — zakończyć. By pozbyć się Anki, starał się wzbudzić w niej zainteresowanie dla swego przyjaciela. Anka jednak wkrótce przejrzała niegodną jego grę i — odeszła. Złamana, zgębiona, pełna wstydu i upokorzenia zachorowała. Wkrótce potem straciła posadę. Podczas długich dni i bezsennych nocy coraz częściej w myślach jej zjawiał się obraz Janka, którego tak lekkomyślnie opuściła. Wspominała jego dobroć, jego wierność

(Dokończenie na str. 450.)



Nie był owym „szczęśliwym Jankiem” z bajki, był tylko Jankiem z kiosku.

Ale i tak był zupełnie zadowolony ze swego losu. W skromnym kiosku pewnej stacji kolei podziemnej sprzedawał papierosy.

Od niejakiego czasu miał poważne zmartwienie. Serdeczna jego przyjaciółka, Anka, okazywała stale jakies niezadowolenie. Uświadomiła sobie bowiem nagle, że nie należy już do najmłodszych, i że czas jakoś szybko uchodzi.

Nieraz wdychała ciężko:

— Mój Boże! Gdyby tak mieć własny sklep, najlepiej dobrze już zaprowadzony skład cygar w narożniku ozdobionej ulicy! To byłoby dobrze!

Chciała mieć już własne ognisko domowe, być panią domu. A biedny Janek, który niczego więcej nie pragnął, jak nazwać Ankę ukochaną swą żoneczką, smucił się i gnębił szczerze. Nie posiadał jednak niczego, a zarobek jego tak był mały, że ani marzyć nie mógł o małżeństwie. Próbował ją jednak pocieszać jak umiał.

— Zaczekaj, wszystko będzie jeszcze dobrze. Kupiłem sobie dziś los. Zobaczysz, że wygram!

Ona się śmiała — początkowo ubawiona, później trochę nerwowo, wreszcie już z jawną ironją.

— Ach ty — z twoim losem!

W owym czasie poznała Anka innego mężczyznę. Był przystojny, elegancki, posiadał własny samochód — słowem miał wszelkie dane, by móc spodobać się młodej dziewczynie. A ona widać przypadła jemu również do gustu. Przyjemnie mu było, „wprowadzać” ją w nieznaną jej dotychczas świat.

— Niemożliwe — mawiał nieraz — to pani nie była jeszcze na żadnym dancingu? — albo — Tej opery pani jeszcze rzeczywiście nie słyszała? — lub

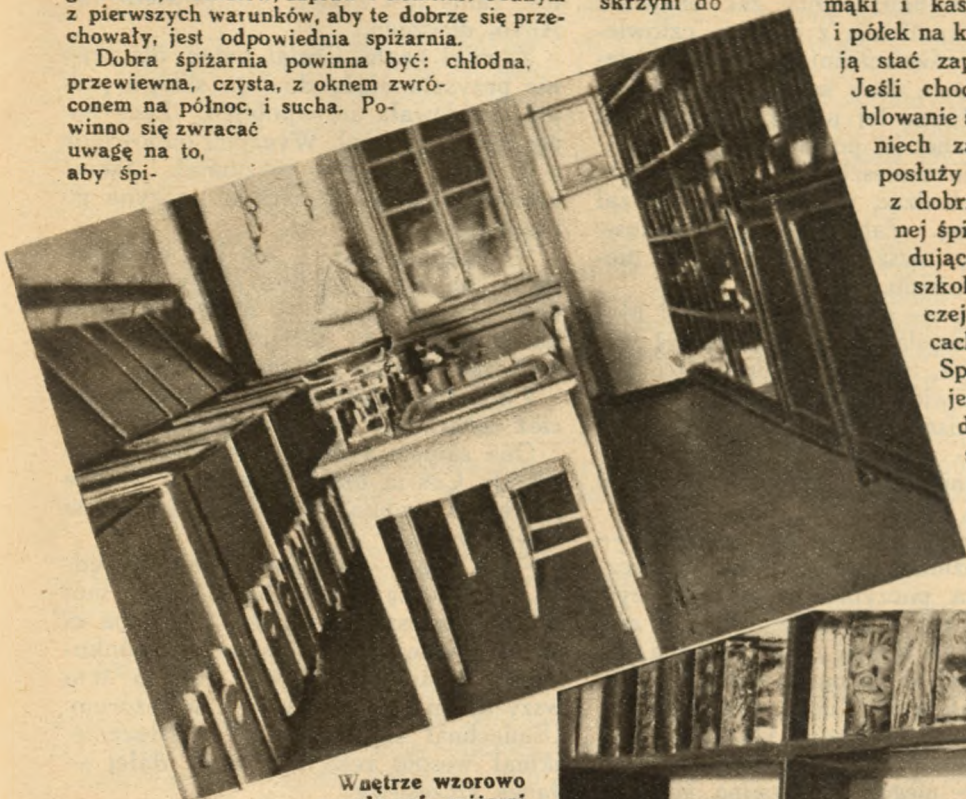
— Anko — szepce — ty tutaj? myślałem — myślałem, że dawno już wyszłaś zamaż...

Czas pomyśleć o spiżarni

(Sprawy kobiece)

Nadchodzi okres przygotowywania wszelkiego rodzaju konserw, zapraw i konfitur. Jednym z pierwszych warunków, aby te dobrze się przechowały, jest odpowiednia spiżarnia.

Dobra spiżarnia powinna być: chłodna, przewiewna, czysta, z oknem zwróconym na północ, i sucha. Powinno się zwracać uwagę na to, aby spi-



Wnętrze wzorowo urządzonej spiżarni w Szkole Gospodarczej w Kuźnicach

żarnia nie znajdowała się w pobliżu pewnej ubikacji, bowiem sąsiedztwo to wpływa ujemnie na konserwy. Przyczynia się ono do powstawania fermentów w słojach i otwierania się ich w następstwie.

Zanim zaczniemy spiżarnię naszą zapępniać wszelkiego rodzaju zapasami, musimy ją do tego starannie przygotować.

Opróżniamy ją więc zupełnie, i najpierw wykadzamy siarką lub świecą siarkową, którą można nabyć za kilkadziesiąt groszy w każdej drogerji. Robimy to w celu zabicia ewentualnie znajdujących się w spiżarni szkodników jak muchy i inne owady. Po wykadzeniu, wietrzymy spiżarnię dokładnie, poczem wszelkie dziurki i szczeliny w ścianach gipsujemy dokładnie. Bardzo zaleca się wybielenie spiżarni co rok. Im spiżarnia jest czystiej utrzymana, tem lepiej będą się w niej przechowywały zapasy i konserwy. Po wybieleniu ścian i sufitu przystępujemy do szorowania podłogi oraz do starannego oczyszczenia sprzę-

tów znajdujących się w spiżarni, a więc: skrzyni do

mąki i kaszy, szafek i półek na których mają stać zapasy i t. d.

Jeśli chodzi o umeblowanie spiżarni, to niech za przykład posłuży fotografia z dobrze urządzonej spiżarni, znajdującej się w szkole gospodarczej w Kuźnicach.

Spiżarnia ta jest dosyć długa, czysto wybielona, z oknem zwróconym na północ.

na dole zasuwę drewniane, przez które po opróżnieniu skrzyni wymiata się resztki mąki i kasz. Ułatwia to bardzo utrzymanie wnętrza skrzyni w czystości. Nad skrzyniami widzimy linki z haczykami, na jednej z nich widzimy zawieszony woreczek. Linki te są przeciągnięte przez bloczki umocowane u sufitu i służą do zawieszania na nich woreczków z suszoną jarzyną, grzybami, wędlinami, ziołami i t. p. Woreczki te podciąga się wysoko, aby nam nie przeszkadzały, co mogłoby mieć miejsce, gdyby wisiały za nisko. Na przeciwległej ścianie widzimy mocne drewniane półki, na których ustawia się konserwy i konfitury w słojach, oraz puszki blaszane zawierające herbatę, kawę, pieprz, i rozmaite inne zapasy tego rodzaju. Wreszcie osobno stoi szafka w której przechowuje się świece, mydło i rozmaite przybory do prania.

Tego rodzaju zapasy, muszą być przechowywane zupełnie oddzielnie od innych, aby żywność nie przeszła np. zapachem mydła lub nafty. Tego dobra gospodyni wystrzeżę się starannie. Na jednym stole waga, na drugim znajdują się książki i kalendarz. Wzorowa gospodyni nie tylko waży, ale zapisuje starannie wszystko to, co zakupiła i czem zappełniła swoją spiżarnię, oraz to, co ze spiżarni wydała. Przez staranne prowadzenie zapisków w spiżarni — zaoszczędzamy sobie wiele kłopotów, wiemy zawsze co mamy — i czego braknie a prócz tego kontrolujemy same siebie, czy nie gospodarujemy zbyt rozrzutnie.

Oczywiście nie każdy może sobie pozwolić na dużą spiżarnię, ale i mała może być urządzona praktycznie a utrzymywana starannie i czysto. *M. Sz.*



Konserwy i zaprawy w spiżarni w Kuźnicach

Pod jedną ścianą stoją skrzynie do mąki, kaszy, ryżu, cukru i t. p. Skrzynie te mają podwójne przykrywy — Otwarte drewniane i pod nimi siatkowe. Pamiętać należy, że mąka i kasza nie mogą stać zamknięte, gdyż wtedy łatwo tęchną. Aby zaś przez otwarte wieko nie dostały się do skrzyni myszy lub inne szkodniki, zakrywamy skrzynie siatkową przykrywą. Prócz tego skrzynie te mają

Nasze listy i odpowiedzi

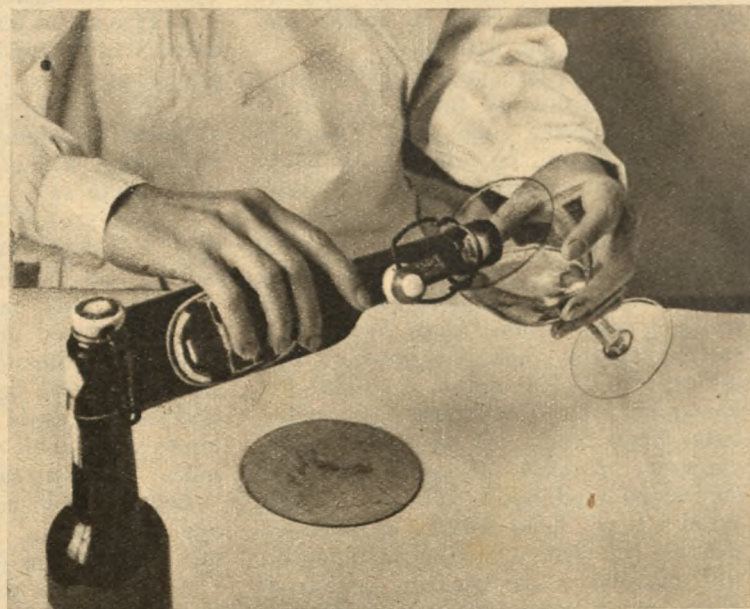
H. J. Niech Pani się nie wstydi! Siwe włosy ujmą nie przynoszą. Choćby Pani dopiero miała lat 32. Czy to jaka hańba mieć siwe włosy? Nad przebarwieniem włosów trzeba się dobrze zastanowić. — *J. Jarzyński.* Niestety nie wiemy. — *Inż. Rychlicki, Gdynia.* List posłałimy pod wskazanym adresem, lecz adresat nieznan. Prosimy o dokładny adres.

W upalne dni letnie

„głowa rodziny” lubi nieraz zaspokoić pragnienie dobrem piwkiem. Wszystkim dobrze wiadomo, że każda potrawa czy napój, tem więcej zyskuje na smaku, im czystiej i naleźyciej jest podana lub przygotowana. Wie o tem każda dobra gospodyni i nie zaniedbuje niczego, coby mogło przyczynić się do ulepszenia potrawy czy napoju.

Zwykle, zdawałoby się łatwe, podanie piwa, ma również swoje reguły od których nie wolno odstępować. I tak stół powinien być czysto nakryty, a ręce pani domu nalewającej zwłaszcza gościom piwo do szklanek najdokładniej wymyte. Trzeba też wiedzieć, że piwo należy nalewać do większych szklanek, takich jakie widzimy na rysunku, gdyż wtedy lepiej ono smakuje. To są jednak wszystko wiadomości wstępne. Nadchodzi ważna dla piwozochy chwila, napełniania szklanicy. Chodzi teraz o to, aby piana osiadła na samym wierzchu, nie mąciła piwa. Dlatego (patrz na obrazek) należy przyłożyć flaszkę, w linii równoległej do szklanicy, a równocześnie tę ostatnią nieco nachylić w kierunku flaszki. Wówczas dopiero napełnia się powoli, bez pośpiechu szklanę.

Piwo bez piany nie wygląda apetycznie w szklance. Piana bez piwa zaś żadnej nie ma wartości! A więc nalewać trzeba tak, by 6/8 — 7/8 było w szklance piwa, a 1/8 — 2/8 tworzyła zachęcający do picia biały kwiat piany.



miłość, i serce jej powoli znów zwróciło całą potęgę swych uczuć w stronę dawnego przyjaciela. Jednego tylko jeszcze pragnęła: zobaczyć Janka, usłyszeć dobry, serdeczny głos dawnego przyjaciela, znaleźć u niego otuchę i pokrzepienie.

Stała przy kiosku. Jakaś obca twarz spogląda na nią.

— Pan Jan T.? Oj, proszę pani, dawno go już tutaj niema. Posiada własny, duży sklep przy ulicy X.

Anka szeroko otworzyła oczy. Własny sklep? Czuje, jak jakiś ciężar nieznośny kładzie się jej na sercu. Ledwie zdoła wykrztusić kilka słów podziękowania za otrzymaną informację. Kieruje się ku wyjściu. Nogi ma ciężkie jakby z ołowiu, w wszystkich członkach czuje nagle dziwne zmęczenie.

Jej Janek! Ostatnią w nim pokładała nadzieję! A teraz wszystko stracone! On bogaty, posiada własny sklep, a może — i żonę. Żonę dobrą, odpowiednią dla niego, która umiała ocenić szlachetne, prawe jego serce. Nie, ona, Anka, nie ma już prawa jemu się przypominać. Czy nie mógłby pomyśleć o niej, że wraca dlatego, że on bogaty, że spodziewa się teraz u jego boku życia przyjemnego?

Ale serce i wspomnienia nie dają jej już spokoju. Przejdzie tylko tą ulicą, przy której znajduje się jego sklep.

Przystanąła po drugiej stronie, schowana za słupem reklamowym. Poprzez szyby widzi Janka, jego dobrą, pogodną twarz, trochę jakby mizerniejszą, bledszą. Serce bije jej jak młotem. Drży cała od stóp do głowy. Tam, za sklepem, jest widocznie mieszkanie prywatne, a w niem napewno — inna kobieta. Gorzkie łzy napływają jej do oczu. Odwraca się szybko i odchodzi...

Pozostała samotna. Unikała towarzystwa wesołego. Udało się jej znaleźć

przy drodze furmanki ciągną, to i wstąpią ludzie, pogwarzą, kiełbasy kupią, lusterko czy wstążkę dla dziewczuchy, grzebień dla siebie czy brzytwkę, mydło i chustkę, a elegandy to i krawaty se zafundują.

Pan Wojciech, że to wszystko dokładnie wiedzieć musiał, nuż ciągnąć za język Staśka, skąd to towar ma, a jak z zarobkiem i t. d.

— To jest prostsze, jakby się wydawało!

W Czerwińsku, w takim domku w ogródku, mieszka sobie stary emerytowany nauczyciel, co całe życie w większym mieście spędził i uczył w takiej szkole, co to ją nazywają „handlową”. To tam, jak mi powiadał, uczą tych studentów takiej nauki, co się zowie „towaroznawstwo”, a która mówi o tem, co się z czego robi. Uczą tych przyszłych kupców, jakie co powinno być, jak poznać, co jest dobre, a co złe. Pokazują im, jaka to jest dobra kawa, a herbata, gdzie rosną, jak się zbiera i przechowuje. Z czego się cukier robi, jak się węgiel wydobywa, sól, jak zbierają tytoń i t. p. Taką książkę u niego widziałem, co tam wszystko dokumentnie jest ułożone i na obrazku pokazane! Dużo się od niego nauczyłem! On mi

skromny zarobek. W śródmieściu, przy bardzo ożywionej ulicy, sprzedawała w małym kiosku papierosy, gazety i cukierki. Codziennie przechodziło obok niej tysiące ludzi. Ona zaś obawiała się tylko spotkania z jednym człowiekiem, a równocześnie — prawie nieświadomie — oczy jej wciąż wypatrywały w tłumie tej jednej jedynej, tak dobrze znanej jej postaci.

Wreszcie nadeszła i ta chwila. Janek, przechodząc, przypadkiem spojrzął w jej stronę. Zatrzymuje się gwałtownie. Oczy rozszerzają mu się w niemym zdumieniu.

— Anko — szepce — ty tutaj? Myślałem... myślałem, że dawno już wyszłaś zamaż, że jesteś conajmniej kierowniczką wielkiej jakiej filii!

— Widzisz przecież, że kieruję całym kioskiem — próbuje żartować, lecz czuje równocześnie, jak gorący rumieniec oblewa jej twarz.

Janek spogląda na nią uważnie — i nagle rozumie całą jej dołę. Sprzeczne uczucia poczynają w nim walczyć. Bunt — i żal — i miłość. Ileż dla niej wycierpiał, ile tęsknił za tą ukochaną swą dziewczyną! A tu naraz widzi ją znów przed sobą! Wokół huczy ulica zgiełkiem przeraźliwym i gwarem. On nic nie słyszy — widzi tylko tę ukochaną jej twarzyczkę — niegdyś tak pełną śmiechu i radości, dziś smutną i zaleknioną.

— Powiedz, dlaczego nie przyszłaś nigdy do kiosku? Głos ma dziwnie zachrypnięty.

— Byłam w kiosku, ale przyszłam już — za późno. Ciebie już tam nie było. Czasem widziałam cię zdaleka w twym sklepie. Anka opuszcza głowę. — I prawda — zapomniałam ci pogratulować — dodaje ciszej.

— Ach tak, ten los. Pamiętasz, Anko, ten nieszczęsny los? Ona znów się za-

rumieniła. — Nie umie spojrzeć mu w oczy.

— Trzy miesiące po naszym rozstaniu wygrałam dużą sumę. Ano tak — los. Takie jest życie. Ale powiedz mi, Anko, dlaczego...

Zamilkł nagle. Chciał pytać, dlaczego nie przyszła nigdy do jego sklepu, jeśli już znajdowała się w pobliżu. Lecz nagle jakby przejrzał. Wyczytał odpowiedź z jej oczu i wszystko zrozumiał. Jakieś ogromne, szalone szczęście poczyna go rozpierać.

— Anko, Anko — ach tak — prawda — no nic — to było głupstwem. — Głos mu się łamie. — Myślałem o tobie zawsze — to też było głupotą — wówczas — dziś już nie — dziś...

I w nagłym zdecydowaniu: Anko, przecież zobaczmy się dziś wieczorem?

Ona skinęła tylko głową. Mówić nie potrafi. Coś ją dławi w krtani. Podaje jej rękę i szybko odchodzi. Ale już po chwili wraca.

— A więc — u mnie, — mówi prędko. — Muszę ci przecież pokazać mój sklep i mieszkanie moje. Spodoba ci się napewno. A rozumiesz, ta konkurencja tutaj musi ustać. No, o tem wszystkim pomówimy wieczorem. Uśmiechnął się jeszcze raz serdecznie, skinął wesoło ręką i pobiegł dalej — Janek szczęśliwy.

Anka spogląda za nim, przejęta do głębi i jakby nawpół tylko przytomna.

— Cóż to, panienczko — ży? — pyta zdziwiony jakiś obcy gość. Trochę zawstydzona ociera szybko oczy chusteczką.

— Ach, Panie, — szepce, — to tylko — bo za dużo naraz szczęścia.

— Wygrała Pani pewnie wielki los? — śmieje się obcy.

— Och tak, — wielki, największy los. *Neubert - Ber.*

Młoda wieś budzi się...

(Dokończenie ze str. 447)

powiedział, gdzie i jak kupić, on mnie nauczył obliczać procenty i kalkulować, aby na swoje wyjść, nie stracić, a ludzi nie skrzywdzić. Ten nauczyciel kupił mi taką książkę i nauczył zapisywać wszystko, co i za ile kupiłem, a na drugiej, co sprzedałem, abym zawsze wiedział, na czem stoję!

— Trza się nie dać biedzie, panie gospodarzu, trza pracować, a da Bóg, wszystko przetrwamy i na ludzi się wykierujemy!

— No, muszę jechać, bo dziś bydło kupować będziemy i cielaki. Z temi to największy kłopot, bo beczą i wierząją i uparte są — o la Boga!

— No, szczęście ci Boże, Staszku, będzie z ciebie chwacki chłop — bodaj się tacy na kamieniu rodzili!

— Ha, cóż myślicie, przecież my w swoim kraju przepaść i zdychać nie możemy, a tuczyć obcych, co nam maśla i durzą, nie będziemy, bo z tego ino wyzysk, krzywda i rozpusta! Trza się nie dać, trza sobie radzić. Kto nam dopomoże, jak sobie sami nie dopomożemy?

Ledwo drzwi się zamknęły, a Jedrus, syn gospodarza, nuż prosić ojca, aby mu ze Staśkiem jechać pozwolił.

— Magdziu, pamiętaj — wołał odjeżdżający Stach — że w niedzielę po-

tańczymy sobie oberka z przytupywaniem i tego kujawiaka, co dech w pierśsi zapiera! Toć kiedy będziemy się weselić, jak nie za młodu? Jak dobrze pójdzie, to takie weselisko sprawię, że aż kurz na szosie się zrobi! No, a teraz pożycz mi dobrej drogi.

Dziewczyna za odjeżdżającym zrobiła znak krzyża, a Michał z panem Wojciechem długo patrzyli za chłopakiem, co to z dolą wziął się za bary.

— Tak, tak, oni doczekają lepszych czasów, gdy ta nasza Polska będzie wolna od obcych i swoich nakarmi i przytuli. Przyjdzie taki czas, że owa legenda o kołodzieju Piaście, co to Polskę wyzwolił i dobre rządy zaprowadził i kmieciów podźwiął, a odrodzenie przyniósł krajowi... ziści się! Polskie zakwitną miasta i sioła i polski lud, polski chłop i mieszczanin dopełnią tego, że chleb wydobycy z polskiej ziemi, polskie będzie karmił dzieci i na wsi i w mieście. I Krzyż święty dźwignie się wysoko w naszych miastach czystych i schludnych, na większą chwałę Bożą. Boć nasza to ojcowizna, którą przez pracę i zapobiegliwość podniesiemy i użyźnimy! Tak nam Pani-Boże dopomóż!

Jan Mar.

JAK CIEN...

Powieść

1)

Stefan Radlicz siedział przy wielkim, bardzo nowożytnym biurku, zawalonem papierami i pisał, a raczej usiłował pisać. Szło mu ciężko. Co trochę niecierpliwym ruchem przekreślał jakieś zdanie lub nawet cały ustęp, tarł bujną, jasną czuprynę, zrywał się, przebiegał pokój nerwowymi krokami. Narzeczcie rzucił z rozmachem pióro.

— A to upał! Pracować nie można!

Istotnie, gorąco w pokoju było straszliwe. Pomimo spuszczonej rolety, wdzierał się przez uchylone okno żar, bijący od rozpalonych murów przeciwległych kamienic.

Stefan wytarł czoło i kark z potu.

— Pić! pić!

Podszedł do ukrytej za parawanem umywalni, odkręcił kurek — strumień pocieki, szmerząc srebrzyście. Młody człowiek chciwie podniósł do ust napelnioną szklanekę. Skrzywił się, z gniewem wodę odstawił.

— Ciepła!

Stał chwilę niezdecydowany.

— Chyba do kawiarni albo co?... Tylko że... nie chce mi się wychodzić na taki upał!... W pokoju znów duszno...

Zadzwęczał dzwonek telefonu. Stefan ujął słuchawkę.

— Hallo!... przy telefonie. A to ty, Kazik?... Co słyhać? A no, gorąco... upał niemożliwy... nawet pracować nie mogę... Właśnie o tem myślałem... świetnie! Będę za pięć minut! Czekaj na mnie!

Rzucił słuchawkę, umył ręce, poprawił przed lustrem krawat i, chwyciwszy panamę, wybiegł na korytarz.

— Wychodzę, pani Józefowa! — krzyknął w kierunku jakiejś tajemniczej firanki.

— Dobrze, dobrze, pozamykam — odpowiedział trochę gderliwy, kobiecy głos.

Znalazłszy się na ulicy, młody człowiek zesunął kapelusz na oczy, chroniąc je od blasku i, wsadziwszy ręce w kieszenie białych flanelowych spodni, poszedł wolnym krokiem w kierunku umówionej kawiarni. Idąc, rozglądał się leniwie.

— Prawdziwe ogórki — mruknął — psa kulawego na ulicy niema!

Istotnie ruch był niewielki. Kto mógł, opuścił rozpalone miejskie mury, a ci, co zostali, wychodzili na ulicę tylko zmuszeni koniecznością.

— Wyjechać! wyjechać! — marzył Stefan, wchodząc do kawiarni.

Z łatwością znalazł w najbardziej zacienionym kącie werandy młodego prawnika Kazimierza Dorskiego. Powitali się uściskiem dłoni, obstałowali lody, lemonjadę, rozsiedli się wygodnie.

— Ależ upał!

— Nie do wytrzymania!

Kelner przyniósł chłodniki. Odświeżali się w milczeniu.

— Myślę wyjechać — zaczął Kazimierz.

— Ja także... Gdzie się wybierasz?

— Sam nie wiem... chyba nad morze?

Stefan się skrzywił.

— Ech, nad morze... i znowu dancingi i malowane twarze kobiet i bridż

i przebieranie się i flirty... Nie, nie, ja chcę spokoju na łonie przyrody... i słońca i powietrza i wody i lasu... ciszy i samotności...

Kazimierz słuchał w zamyśleniu.

— Cudne projekty!... Gotówem się z tobą wybrać... ale gdzie takiej Arkadi szukać?

— W tem sęk!

Chwilę palili w milczeniu. Nagle Kazimierz ręką w stół uderzył.

— Mam! Przypomniałem sobie!... Wspaniały stary las, jakby gdzieś na kresach! Olbrzymie jezioro... brzegi piaszczyste... do szosy może pół kilometra, może trochę więcej... a szosą do miasteczka z pięć, sześć kilometrów — czyli możliwy dostęp do zakupów wszelkiego rodzaju, ewentualnie do poczty.

Stefan pochwycił go za rękę.

— Człowieku! gdzież jest ten raj na ziemi? Skąd o nim wiesz?

— Jakem przeszłego roku z siostrą i szwagrem wycieczkował autem, przypadkiem tam trafiliśmy. Jechaliśmy z P... upał był wściekły... zabłysła nam tafla jeziora, skusiło nas... dobiliśmy tam po straszliwym piachu... Do tej pory pamiętam boską rozkosz tej kapieli.

Stefan się porwał.

— Jedziemy!

— Jedziemy! Bierzemy kajak i namiot.

Zeszło jeszcze parę dni na przygotowania, zakupach, aż pewnego cudnego popołudnia obaj przyjaciele wysiedli z żydowskiego autobusu, który ich przywiózł z odległej o dwadzieścia kilka kilometrów stacji kolejowej.

W ślad za nimi wysadzono na szosę stos mniej lub więcej foremnych pak i paczek z nowiutkim rowerem na czele, poczem obdrapane pudło odjechało, brzęcząc żelazem i kaszłąc smrodem benzynowym.

Słońce zaczynało skłaniać się ku zachodowi, w jego jaskrawych promieniach lśniła na horyzoncie błękitno-srebrna tafla jeziora, obramowana potężną czerniejącą ścianą lasu.

— Patrz! — szepnął Stefan.

Kazimierz odpowiedział:

— Cudowne! ale trzeba się tam dostać... z bagażami.

Wypatrzyli ukrytą w gąszczu nad brzegiem szosy zagrodę włościąńską. Kazimierz został na straży przy rzeczach, a Stefan przeskoczył rów przydrożny i poszedł szukać pomocy. Właściciel zagrody chętnie się zgodził za dosyć słoną cenę odwieźć młodych ludzi i ich bagażę nad jezioro.

— Najlepiej to ta panom będzie od tamtej strony — mówił poganiając niedużego ale szparkiego konia — ino trza do pana nadleśnego po pozwolenstwo. Las rządowy i jezioro rządowe.

Miejsce wskazane przez chłopka okazało się wybornem. Piaszczysty brzeg łagodnie wznosił się ku potężnej ścianie lasu. Porastała go krótka trawa. Boki lasu zamykały gęste krzaki szmerzącej z cicha olszyny.

— Będzie nam jak u Pana Boga za piecem! — cieszyli się młodzi ludzie, rozpakowując namiot.

Chłopak, Walenty Sikora, wzamian za parę papierosów chętnie dopomógł w rozpięciu namiotu, poczem odjechał, umówiwszy się, że jego „kobieta“ codziennie panom mleko przynosić będzie.

I rozpoczęły się dla Warszawiaków dni rozkosznych wywczasów. Budził ich świergot leśnych ptaków, jedyny odgłos życia w ich pustelni. Cały dzień spędzali na wodzie lub nad wodą. Wyjeżdżali kajakiem na środek jeziora, pływali, potem wracali na brzeg wygrzewać się na słońcu — i znowu pływali.

— Ach! żeby tak można całe życie! — wdychali czasem.

Co parę dni jeździł jeden z nich do miasteczka po niezbędne zapasy: zapalki, świece, mydło, sól, cukier i tak dalej, oraz po pocztę. Wyprawy te odbywali kolejno na rowerze. Chleba, masła, mleka, kartofli, dostarczali im Sikorowie.

Pewnego dnia, gdy kolej jechania do miasta przypadła na Stefana, załatwił najpierw wszystkie sprawunki, a potem udał się na pocztę. Brał już za klamkę drzwi wejściowych — otworzyły się i wyszła młoda osoba. Stał jak wryty.

Nieznamąca była nadzwyczajną, skończoną pięknoscią. Twarzyczka o barwie kości słoniowej, o rysach rzeźbionych jak greckie arcydzieło, spuszczone olbrzymie rzęsy, rzucające cień na delikatne policzki, płomiennie rude włory, palące się najczystszym złotem w świetle sierpniowego słońca — oszołomiły go do tego stopnia, że stał bez ruchu i nawet się z przejścia młodej kobiety nie usunął. Przeszła, nie patrząc nań. Odwrócił się jak automat, nie spuszczać z niej oczów. Trzymała w ręku całą pakę gazet i listów, które usiłowała wcisnąć pod siedzenie małego koszykowego wolancika. Trudno było. Przywiązany do słupka żwawy kucyk kręcił się i szarpał wózkami. Jedna z gazet upadła na ziemię. Stefan poskoczył, podniósł pismo i wręczył nieznajomej.

— Dziękuję — powiedziała, podnosząc nań olbrzymie przepaściste, czarne oczy. Wsiadła do wolancika, ujęła lejce, kucyk ruszył ostrym klusem. Znikła na zakręcie ulicy. A Stefan pozostał nieruchomy, olśniony, w jakimś dziwnym, błogim zapamiętaniu.

— Kto to był? — zapytał starego poczmistrza, gdy ochłonawszy nieco, poszedł odbierać pocztę.

— Kto? ta ruda pani? A to siostrzenica pana Lińskiego. Mieszkają w willi Biała Róża... z tamtej strony miasta — ukazał ręką — pod samym lasem... A pana Lińskiego pan zna? Bardzo porządny człowiek... dziwak... można powiedzieć narwany... Widział go pan kiedy? Warto, naprawdę warto — gadał stary, kładąc przed Stefanem całą plikę listów i gazet.

Młody człowiek umieścił je po kieszeniach, ukłonił się grzecznie i wyszedł. Przed budynkiem pocztowym zatrzymał się chwilę.

— A cóż! Mam czas! — mruknął.

Wskoczył na siodło — chwilę się zawahał. Z nagle postanowieniem skrzyknął rower i zamiast pojechać drogą, którą przybył przed dwoma godzinami, popędził w kierunku, wskazanym przez starego pocztmistrza.

Drwił z siebie w duchu:

— Idjota! Dureń! — ale pedały naciskał coraz mocniej, coraz szybciej. Pałły go przepaściste czarne oczy, lśniły przed nim niesforne miedziane pukle, otaczające cudną, cudną twarzyczkę.

Miasteczko Iksinów było jakby wciśnięte w olbrzymi bór, który je z trzech stron otaczał. Willa Biała Róża leżała na samym jego skraju, prowadziła do niej boczna, ale bardzo dobra droga, po obu stronach której bieleły się zgrabne domki, zamieszkiwane przez ludzi, niezwiązanych zajęciami z miasteczkiem. Byli to przeważnie emeryci, pragnący korzystać ze ślicznego otoczenia i doskonałego powietrza Iksinowa.

Wyjechawszy na dość wąską, trawą porośniętą drogę, obrzeżoną starannie utrzymanymi ogródkami, Stefan miał wrażenie, iż wpadł w jakieś bezdenne morze ciszy; głos ludzki się nie rozległ, pies nie zaszczekał — nawet ptaki nie śmiały, zda się, zacząć. Domki stały ciche, jakby uśpione; patrząc martwymi oczodołami okien na również martwą drogę, kwiaty i krzewy w ogródkach nie poruszały się wcale.

— Brakuje tylko śpiącej królowej — pomyślał Stefan.

Straszliwy hałas rozdarł powietrze. Jakby szaleńcza ręka cisnęła w tę niesamowicie martwą ciszę, pomieszane brzęki szarpanych łańcuchów, rozpaczliwie rwane oddechy sapiącej maszyny, jakieś zgrzyty...

Zbudzony nagle Stefan drgnął, wypuścił z rąk kierownicę, rower skrzyknął na miejscu i wpadł do rowu. Z piekielnym brzękiem i warkotem, w tumanach kurzu i oparach smrodu benzynowego przeleciał jasno ubrany stwór — mignął i przepadł. Stefan ledwie zdążył zobaczyć ściągłą bladą twarz, śmiesznie przeciętą jaskrawą linią długich, ogniste rudy wąsów.

— Ki djabeł? — pomyślał.

Zerwał się, zły i potłuczony, rozcierając kolano, dość mocno uderzył się o jakiś zabłąkany w piasku kamień.

— Radziłbym okład z zimnej wody. Z kolaniem niema żartów — powiedział ktoś za nim.

Odwrócił się szybko. Oparty o furtkę ogródka stał niedużego wzrostu siwy pan z dymiącą fajką w ręku.

— Z kolaniem niema żartów — powtórzył. — Pan patrzy na mnie ze zdziwieniem, że zaczepiam nieznajomego?... Panie, na tem odludziu nieznajomy, to dar przez Boga zesłany... My tu nie mamy czasu na wielkomięskie ceremonje... Trzeba chwycić sposobność porozmawiania z kimś ze świata, zanim ucieknie.

Śmiał się dobrodusznie, pykając z fajki. Małe bystre oczki taksowały Stefana z nieukrywaną ciekawością, naiwnie, po dziecinnemu.

— Zresztą, jeśli pan tu zajechał, to musi pan mieć interes do jednego z nas — ręką ukazał milczące domki — a my tu, panie, na tem odludziu jak jedna wielka rodzina... kto ma gościa, musi się podzielić!

Stefan się roześmiał.

— Niestety, w tym wypadku niema się czem dzielić... Do nikogo tu specjalnie nie przyjechałem... ot, tak sobie... skrzyknęłam w tę stronę, znęciła mię śliczna cienista droga.

— A co pan robił w miasteczku? Bo pan nie tutejszy. Ja znam wszystkich co do jednego. — Stary pan westchnął. Od tyłu lat tu siedzę...

Stefan odpowiedział krótko, chciał się pożegnać, tamten rozpaczliwie pochwycił go za ramię.

— Panie! pan mi tego nie zrobi! proszę wstąpić choć na chwilę... o! i z tem kolaniem niema żartów!.. ja się na tem znam! zajoduję... nie można tak zostawiać!

Zniecierpliwiony Radlicz chciał się wyszarpnąć — nagle w otwartym oknie jakby jasna suknia zabielała... zalsniły jakby złotorude pukle?...

— Dobrze — odpowiedział prędko — kolano zdrowe, ale kiedy pan tak uprzejmy, wstąpię na chwilę... będzie mi bardzo miło.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Ze sękatym po nowe sposoby gospodarki

(Rola i Ogród)

— To tak teraz mówią, że jak się chce o wsi pisać i jej biedzie, to się mówi „frontem“. Rozumiecie już?

— Przecież w ciemę mnie nie bito.

— Pospieszcie się więc i do soboty przynieście dużo nowin dla „Roli i Ogródu“.

— Już lecę.

— Z Panem Bogiem.

Gdzie tu teraz dreptać po wiadomości? Co się temu ks. Redaktorowi stało? Nigdy tak nie naglił. Widać brakło mu artykułów. Trzeba więc dymać. Ach, już wiem. Najlepiej, jak pójdę do tego znajomka-dziedzica z Jankowic.

Przecież mnie raz zaprosił, bo mówił: Przyjdźcie, Modroku, to się o czemś dowiecie.

Choć to wielki pan a jabiedak, ale zawsze szlachetny i gorliwy katolik. No i co najważniejsze, o biedny na-

ród dba. Słyszałem też niedawno o nim, że i różne próby robi w gospodarstwie, więc może mi co powie o nich dla „Roli“. Idę więc sobie naprzód raniuteńko przez Dąbrowskiego, Swadzim, Tarnowo. Skręcam wreszcie na lewo do pięknego parku, kwitnącego i pełnego zapachu. A wśród tej cudnej zieleni tonie historyczny zamek. Wchodzę na werandę a tu zdaleka dziedzić woła:

— No przecież Modroku przywędrowałeś?

— No tak, proszę pana. To ksiądz mnie wysłał w świat a ja w te pędy najpierw do pana szanownego, by zobaczyć sobie tę piękną naturę.

— Proszę więc, sękatęgo postawić w kącie i pójść ze mną do kapliczki na mszę św. Bo to u mnie dziś panowie zjechali się z miasta, by przez kilka dni wysłuchać referatów na temat „myśli katolickiej“. To są ci, wybrani, co to później pójdą w świat i w sposób świecki będą szerzyć w narodzie ducha katolickiego. Teraz właśnie są w kapliczce a potem pójdą na wykłady, głoszone przez doktorów-uczonych i księży. Poszliśmy więc. Pomodliliśmy się w czasie mszy św. a potem na śniadanie i na naukę.

Trochę mnie wstyd było iść na tę naukę, bo to człowiek wcale nie umie siedzieć z takimi mądrymi ludźmi. Ale zdobywam się na odwagę i siadam sobie koło pana Prezesa i słucham. Najpierw mówi jeden



Bydło i konie na pastwisku

Dzisiaj rano woła mnie zdaleka ks. Redaktor:

— Modroku! A chodźcie ino prędzej?

— A co się stało? — mówię.

— Weźcie tylko sękatęgo od Janka Obłeciświata, bo coś go długo nie widać i idźcie frontem do wsi.

— Jako frontem? Przecież nie frontem nigdy nie chodzę.



Sad

RENÉ BAZIN

MAGNIFICAT

POWIEŚĆ

20)

Duże trudności z otrzymaniem pozwolenia na odwiedzenie rodziny w Penmur miał młody kleryk, który właśnie przyoblekł był suknię kapłańską. Potrzeba było dopiero długiej rozmowy z Przełożonym i wielkiego światła tego męża wytrawności w ocenianiu dusz i okoliczności, aby Andrzej pozwolenie to otrzymał.

Pewnego popołudnia, w porze obiadowej, zjawił się ksiądz Andrzej Maguern w wielkiej izbie w Penmur, w chwili, gdy przygotowywano stół do posiłku rodziny. Jedyną obecną tu w danej chwili osobą była Anna. Przeraziła się straszliwie.

— Boże mój! Andrzej! — zawołała.

W teże chwili zasłoniła twarz trzymanym właśnie w rękę talerzem, odwróciła się i wybiegła przez pokój chłopców i stajnię, wołając:

— Pójdźcie, spieszcze się! Przyjechał Andrzej! Ksiądz Andrzej!

I więcej jej nie widziano.

Pierwsza nadbiegła matka, potem Marta, potem Józef, Weronka, Franek i wreszcie na samym ostatku ojciec. Wszedł do izby w chwili, gdy cała grupa młodych i matka otaczali ze wszech stron przybyłego, ściskali go, zarzucali pytaniami i ciągnęli każdy w swoją stronę. Ojciec drżał na całym cieple.

Gdy go ujrano na progu, wszyscy się rozstąpili. On zaś stał przez chwilę wpatrując się w stojącego przed nim

z doktorów świeckich a potem duchowni doszli do głosu. Zebrali się też tam na zaproszenie i miejscowi uczeni w piśmie. Potem zaczęli sobie tak rozprawać o tem, co usłyszeli w czasie odczytu. Niektórzy tak umieli pięknie mówić, że mnie ochota wzięła na orację. Dałem spokój, bo bym sobie z nimi nie dał rady. Przecież oni mają tak w buzi, jak ja w nogach. A co jeden to mądrzejszy. Po tych naukach uprosiłem p. Prezesa, by przeszedł ze mną na pola i do ogrodu. Idziemy więc.

Zaraz za parkiem oglądamy bydelko i konie hasające po pastwisku. Wszystko to zdrowe i pełne życia. Potem oglądamy torfowiska, ogródek warzywny i sad. Tu muszę trochę przystanąć, bo pan Prezes powiada, że ma las drzew owocowych, pięknie, w rząd poukładany. Aż radość brała, jak się tak na wszystkie strony krzyżowały.

— A czy wy wiecie, Modroku, że z tego sadu nikt owocu nie kradnie pomimo, że opłotowania niema.

— To przecież niepodobno.

— Nauczyłem moich ludzi karami surowymi uczciwości, ale jak przyjdzie owocobranie, to wszystkim robotnikom powydzielałem, by sami nie brali. Między rzędami uprawiam buraki, by wykorzystać miejsce.

w sutannie syna, zamknął oczy, a potem szerokim ruchem otworzył ramiona. Ksiądz bez słowa wpadł w ojcowski uścisk...

Wypuściwszy syna z objęć, przyglądał mu się Jan długo, bardzo długo. Na twarzy jego malował się wyraz śmiertelnej powagi. Parę razy pokiwał głową i wreszcie się odezwał:

— Aleś się zmienił, Andrzej.

A po chwili dodał:

— Nie wiem, czy mnie to cieszy, czy martwi, ale w sercu dzieje mi się coś dziwnego.

Ręce mu się trzęsły. Z serca wyrwały mu się słowa niewymówione, od których drżały wargi. Nakoniec opowiadał się całkowicie. Jeszcze się przyglądał synowi, który stał przed nim w pełnym świetle, a którego spojrzenie, ręce złożone i postawa nieruchoma zdradzały, że w tej chwili dzięki składa Bogu. Odezwał się rozkazujący głos ojca:

— Siadaj obok mnie na prawo, Andrzej.

— Słucham ojca.

Ojciec obszedł dookoła stołu, zajmując zwykle swe miejsce, przewodnicząc rodzinie, jak czynił zwykle od pierwszego dnia po ślubie. Jadł długo w zupełnym milczeniu. Raz się tylko uśmiechnął, gdy Andrzej powiedział:

— Jeśli ojciec pozwoli, to wam jeszcze opowiem o mojej wycieczce nieda-

leko naszego wybrzeża statkiem z chłopcami z kolonji wakacyjnej...

A znów drugi raz o mało się nie popłakał; a było to tak:

Weronka, młody trzpiot, wesola i ruchliwa, podała właśnie na stół pieczone wielkie i złociste kasztany, ostatnie, jakie się z tegorocznego zbioru zachowały, a stawiając na stole dymiący półmisek, powiedziała:

— No, Andrzej, choć będziesz kanonikiem, to takich kasztanów mieć nie będziesz.

— Kanonikiem? — żywo pochwycił Andrzej — kanonikiem! Zapewniam cię, siostrzyczko, że nie będę nim nigdy.

Twarz mu nagle spoważniała. Spoglądając kolejno na braci, bratową, Weronkę o roześmianych oczach, wyrzekł tak, jakby po poprzedniej wesołej i żartobliwej rozmowie chciał im oznajmić długo tajone pragnienie serca:

— Zapamiętajcie sobie, że najgorętszym mem pragnieniem jest praca na parafji, którejby nie potrzebował opuszczać i gdzie żyłbym całkiem zapomniany.

Młodzi, nie rozumiejąc, instynktownie zwrócili się wszyscy w stronę ojca, który już przedtem słuchał uważnie. On teraz powinien dać odpowiedź. Spojrzał też na syna, patrząc mu prosto w oczy.

— Kiedyż ty będziesz mógł odprawić Mszę świętą?

Po tej przerwie wkraczamy po spieczonej roli od słońca na pola uprawne. Żyta piękne, lucerniska zdaleka zaznaczały się zielonością. Wszystko to na paszę, bo krowa to podstawa gospodarstwa. Stanęliśmy przed siewem pasowym Lossowa.

— A to co, takie szerokie rzędy?

— To właśnie siew pasowy owsa, jęczmienia i pszenicy jarej. Zrobiłem próbę, by się przekonać, czy tego rodzaju siew wyda lepsze plony. Dziś rolnik musi szukać sposobów większej wydajności.

Ja teraz, rokrocznie dokładam do gospodarki. Jednak liczę się z tem, że musi się kiedyś skończyć niedola rolnika. Najwięcej gniewają mnie te kartele, które plon rolnika niweczą i doprowadzają warsztaty rolne do upadku.

— Jabym sobie z niemi dał radę, jednak tak głośno tego mówić nie będę.

— Jeszcze wam coś pokażę.

Tu w parku rośnie nowa roślina użytkowa tak zw. **badau**, czyli *Berginia crassiflora*. Jest to roślina przyszłości, bo zawiera w sobie związki garbnikowe, niezbędne w przemyśle garbarskim.

Dotychczas roślina ta dekorowała mi ogród, lecz od dziś zbiorę się do szerszej jej uprawy. W dzikim stanie spotyka się badau na Syberji.



Badau.

Młodym śmiechem rozbrzmiały stare mury domu.

— Przepraszam, ojculku, że się rozeźmiałem, ale to jeszcze tak daleko do końca seminarjum. Jeszcze przecież nie mam tonsury.

— Ja też to rozumiem, tylko pytam, ile ci jeszcze potrzeba czasu do ukończenia?

— Cztery lata, conajmniej.

— Nawet dla takiego starego jak ty?

— A kto wie, czy nie pięć? Niech ojciec liczy: dwa lata filozofii, trzy lata teologii... Może mi rok darują, ale nawet nie wiem, czy nie byłoby korzystniejszej dla mojej parafji...

— Dla jakiej parafji?

— Nie wiem, ojcze; tej, jaką mi daż. Chciałbym mieć ubogich.

Ojciec nagle się odwrócił. Panowało ogólne milczenie. Rzekł:

— Więc tak kochasz ubogich... hm... widzę, że nie zmieniłeś się pod tym względem. I gdzieś się to nauczył tej miłości ubóstwa?

— Tu w domu, ojcze, i na wojnie.

— Gdzie, powiadasz?

— Mówię, że na wojnie i w Penmur. Czy ojciec myśli, że gdyśmy razem z nim uprawiali pola Małgorzaty Voilier, albo tych drugich, tośmy nie rozumieli, dlaczego to robimy? Wszak ojciec sam uczył nas miłosierdzia i miłości bliźniego...

Jan zamilkł znowu, mieniając się na twarzy. Szare jego oczy wyrażały wielką jakąś radość, choć w nich zaszklily się łzy.

— To prawda, synku, że u nas w rodzinie zawsze, jak pamięcią sięgnę, chętnie wspomagano wszelką biedę.

Zamilkł na chwilę.

Jest to roślina wieloletnia, o dużych i twardych liściach, przezimowujących pod śniegiem. W 2-gim roku tworzy się łodyga z różowymi kwiatami. Rozmnażać ją można przez odkłady.

Ażeby roślinę tę zużytkować suszy się liście, aby otrzymać t. zw. tanię i garbnik. Z taniny tworzy się kwas gallusowy. Poza tym z liści wydobywa się hydrochinon i pyrogallol. Garbnik używa się w celach garbarskich, tanię i kwas gallusowy w przemyśle farbiarskim. Te inne znów są cenne w przemyśle fotograficznym. Podobno też z rośliny tej można alkohol wyrabiać. W Rosji sadzą już sadzonki 10 centymetrowe z odkładów korzeniowych w rozstawie 40 × 20 cm. Na morgę magdeb. wypadłoby z 150 kg odkładów.

— A gdzie to można sadzić?

— Najlepiej na glince, zasobnej w próchnicę i wilgoć. Dziś robią już próby z tą rośliną prócz Rosji, Czesi i Niemcy.

— No dosyć już panie Prezesie na dzisiaj. Muszę już lecieć do Poznania, by zaraz to wydrukować.

— Tak was Modroku nie puszczę. Zjecie trochę obiadu a potem pójdziecie. Tu od nas głodni ludzie nie odchodzą.

Zjadłem więc taki obiad, że w drodze co słup telefoniczny popuszcząłem pasa.

— Niech panu Prezesowi Pan Bóg nagrodzi. (Modrok).

Wszyscy czekali, co powie, on zaś po przerwie dodał:

— Więc tak sobie myślę, że może dlatego właśnie wyszedł z naszego rodu sługa boży.

A matka w głębi izby spoglądała zdumiona na męża i na dzieci, pochylone w stronę Andrzeja i rozmyślała:

— Więc jednak się odmienił... Więc pogodził się z synem... Już się nawet nim cieszy. Pewnie, że nie tak bardzo jak ja, ale się cieszy...

I w tejże chwili widzi, że Jan wyciąga przez stół rękę. Chwytając i ścisnąc mocno w swej dłoni dłoń syna-kapłana, która wnet mieć będzie prawo błogosławić... Widzi potem, że Jan wstaje i słyży jak mówi:

— Zajmij teraz moje miejsce, Andrzeju, jakgdybyś był naszym proboszczem; ja siadę na twojem.

I natychmiast przeszedł na prawą stronę stołu obok syna, zajmującego miejsce naczelnie. Zanim usiadł, znakiem ręki przywołał synową swą Martę:

— Przynies-no Marto butelkę wina, ale z tych większych; wypijemy za zdrowie księdza Maguern!

Skoro tylko Marta wróciła, Jan sam napełnił szklanki, poczem wstał i cofając się nieco, zawołał:

— Zdrowie księdza Maguern, chluby naszego rodu! W twoje ręce, synku!

Potem pierwszy odstawił szklankę. Uczyniło mu się markotno, że się przedtem tak opierał, i że tak długo trwało, zanim się przekonał. Nie chciał przed dziećmi przyznawać się do winy. Aby jednak, nie oskarżając się wyraźnie, dać im przecież do zrozumienia, że przeszłe zapatrywania swoje uważać chce za niebawale, odwrócił głowę w stronę żony, która zbliżała się właśnie, aby

sprzątnąć ze stołu i wskazując na nią palcem, wyrzekł:

— Matka jedna odrazu potrafiła zrozumieć. Oddała syna swego Bogu, jakby miarę pszenicy oddała ubogim.

Dzieci się zaśmiały; ale tylko one.

Nikt zdawał się nie zauważyć, że obok Marty jedno miejsce było puste. Weronka podsunęła kubek i ojciec go napełnił; nie było jednak tej, dla której on był przeznaczony...

Znów ojciec przerwał milczenie.

— Przyjechałeś na tak krótko, synku. A gdybyśmy tak razem z matką obeszlili trochę pola?

— A pewnie! — skwapliwie podchwyciła matka. — Pokuleję za wami. Na przełazach i przy rowach to mi obaj pomożecie.

Śmiali się teraz wszyscy, radzi powrócić do codzienności.

— Zobaczysz tu niejedną zmianę — rzekł ojciec. — Z Józefa zrobił się tęgi rolnik, a i Franek dobrze się zapowiada. Nie jest jeszcze zbyt silny, ale ma spryt.

— Pójdę chętnie — odparł Andrzej. — Myślę, że sam byłbym ojca o to poprosił. Więc w drogę!

Poszli, obchodząc pola i łąki. Wiele z sobą nie rozmawiali, ale matka nie mniej mówiła niż ojciec: była tak szczęśliwa, że ją z sobą zabrali i że idzie obok syna swego — księdza. Nie oddalała się od niego ani na krok. Ojciec postępował za nimi. Od czasu do czasu grubym swym głosem wtrącał: „Na Janem Polu mieliśmy w tym roku tak piękną pszenicę, jakiej dawno nie pamiętam...” a trochę dalej: „Na tej łące za stawem — pamiętasz? — pełno było tego jakiegoś chwastu, od którego owce chorowały. — Pamiętam. No, a teraz popatrz.” (Ciąg dalszy nastąpi.)

Nasze listy i odpowiedzi

St. Zaw.-Zółkiewka: Wykoszone jaja kuropatwie trzeba podkładać pod kurę z gatunku drobnych, małych kurek. Krupy i ser nie są odpowiednim pożywieniem dla małych kuropatwek. Bardzo dobrem zato i narazie zupełnie wystarczającym są mrówcze jaja lub robaczki mączne, tak zwane wółki czyli mączniki. W pierwszych zresztą dwóch dniach po wykluciu pisklęta nie potrzebują żadnego pokarmu.

Gdy nieco podrosną, drobne owady i czerwie, które pod przewodem przybranej matki same sobie znajdują, są wyłącznym ich pożywieniem. Do karmy roślinnej przechodzą później. Nie chować więc

młodego stadka, gdy już na karmie z mrówczych jaj lub mączników trochę podrosło, w kurniku czy innym zamknięciu, lecz puścić je na wolność razem z przybraną matką, która wprawdzie bardzo szybko zdziczeje, tak, że nawet wraz z przybranymi dziećmi swymi porywać



Bydło i konie na pastwisku.

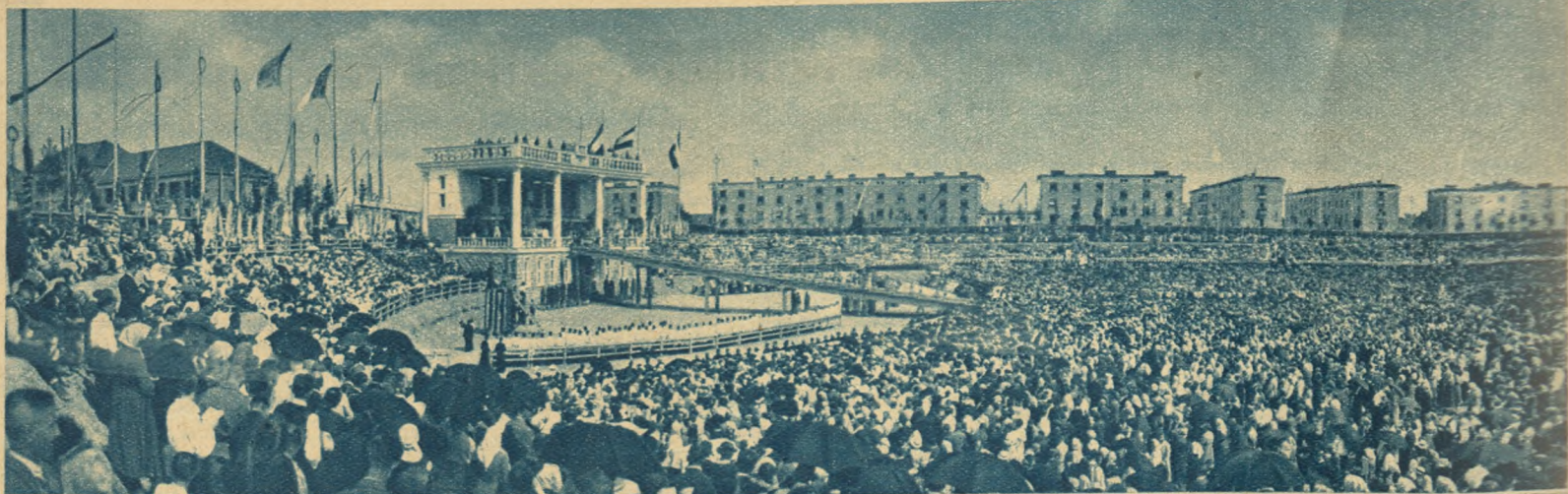
się będzie w polu, ale którą później odstrzelić można, gdyby się jej w inny sposób dostać nie mogło.

Jeszcze korzystniej będzie, jeśli się uda w porze nadwieczornej lub porannej przywabić w polu kuropatwę i jej oddać młode stadko do dalszego wychowania.



Siew pasowy.





Fot. Ks. Iglński

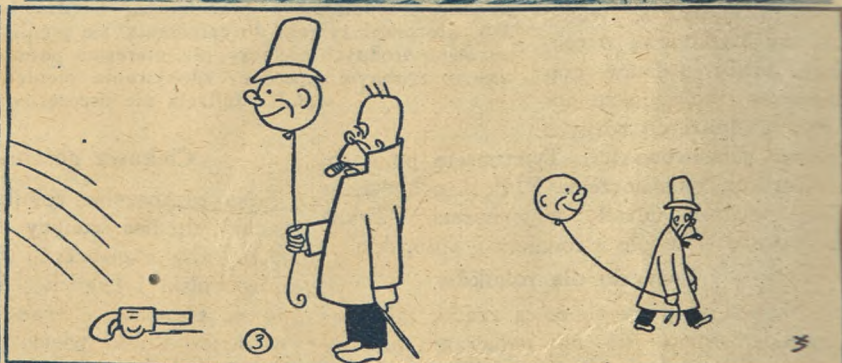
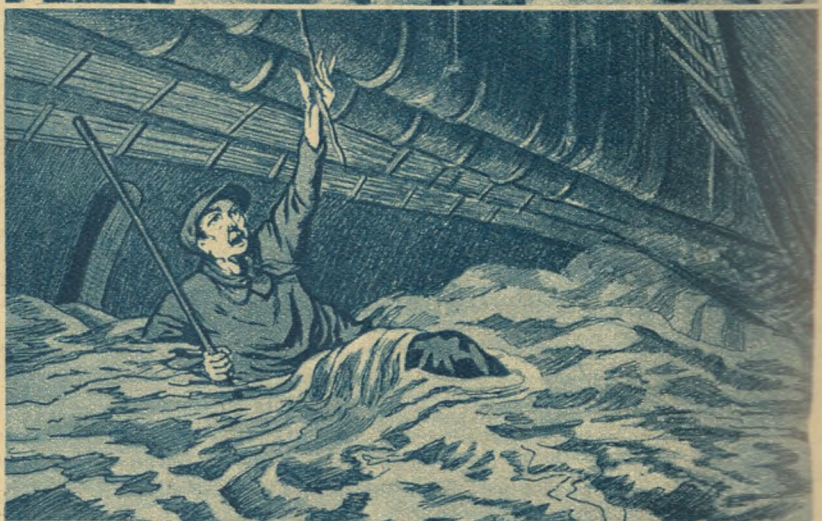
Na mszy św. pontyfikalnej w Lublinie, gdzie radość, z jaką przyjmowano „słowiańskiego“ Legata Kard.-Prymasa Hlonda, była jeszcze bardziej żywiołowa aniżeli na kongresie w Buenos Aires.



Dr. Smithowi, dyrektorowi chemicznego instytutu w New-Yorku udało się zapalić lód. Aby dokonać tego „cudu“ należy połączyć bryłę lodową karbidem! Związki chemiczne, które wtedy wywiążą się, spowodują zapalenie się bryły lodowej. Ogień będzie tak silny, że, aby osłabić siłę wybuchu, trzeba coprędzej skropić lód wodą. (Times.)

Na prawo:
Tegoroczna uroczystość Bożego Ciała w Łomży z swą świetnością i wspaniałością przewyższyła wszystkie poprzednie. Na obrazku w otoczeniu młodzieży J. E. Ks. Biskup Łomowski, obchodzący obecnie 15-lecie sakry biskupiej.

Niżej na prawo:
Pod Paryżem ciągną się olbrzymie kanały, tworzące wielkie podziemne miasto. W czasie burzy lub ulewy kanały te wypełniają się wgnięniu oka wzburzoną masą wód. Wówczas robotnicy czempredziej muszą wydostać się na powierzchnię, gdyż najmniejsza zwłoka kosztować może życie. Na obrazku naczelnik robotników kanałowych, którego dopiero po 8 dniach poszukiwania odnaleziono martwego.



1. Trzeba mieć głowę! Trudno bez głowy!
A dybie na nią lada bandyta
Skoczy zza muru skądś drab morowy,
Wymierzy w głowę — strzeli — i kwita.

2. Trzeba mieć głowę! Gdy w moją mierzył,
Głowa na sznurku wzniosła się w górę...
Drab, jakby patką w łeb go uderzył,
Aż siadł, a potem — fiut! — znikł za murem.

3. Trzeba mieć głowę! Ja miałem drugą,
Którą balonik sprytnie udawał.
Lecz to mej własnej głowy załuga,
Żem taki pyszny urządził kawał.

„PRZEWODNIK KATOLICKI“ ILUSTROWANY TYGODNIK DLA RODZIN KATOLICKICH

z bezpłatnym dodatkiem dla dzieci „MAŁY PRZEWODNIK“ oraz z osobnymi działami „ROLA I OGROD“ i „SPRAWY KOBIECE“.

Przedpłata kwartalna wynosi za egzemplarze osobicie odbierane w ekspedycji naszego pisma i agencjach poznańskich 1.80 zł. Za egz. wysyłane wprost z Administracją w opasce pod adresem imiennym, w ilościach od 1 do 9 egz. po 2.70 zł, od 10 do 59 egz. po 2.35 zł, od 60 egz. wzwyż po 2.— zł za egz. — Dla abonentów pocztowych (bez opaski) przedpłata kwartalna wynosi 2.34 zł, miesięczna 78 groszy, dwumiesięczna 1.56 zł łącznie z kosztami manipulacyjnymi.

Pocztowe konto czekowe: Poznań P. K. O. nr. 206 084 „Przewodnik Katolicki“.

W sprawach dotyczących rękopisów i treści pisma prosimy zwracać się wyłącznie do Redakcji, w sprawach odnoszących się do przedpłaty, ekspedycji, pokrycia należności oraz ogłoszeń — wyłącznie do Administracji „Przewodnika Katolickiego“ w Poznaniu, Al. Marcinkowskiego 22, nie zaś pod osobistym adresem X. Redaktora.

Redaktor odpowiedzialny: X. Franciszek Forecki w Poznaniu. — Za reklamy odpowiedzialny: Ignacy Domański w Poznaniu.

W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajków i t. p. wydawnictwo nie odpowiada za regularne dostarczanie pisma i abonenci nie mają prawa domagania się niedostarczonych numerów lub odszkodowania. Nakładem i czcionkami Drukarni i Księgarni św. Wojciecha Sp. z o. o. w Poznaniu — na papierze z własnej fabryki papieru „Malta“.

Telefony 26 78, 22 41, 36 13, 36 14, 31 27.